Opłata pocztowa uiszczona ryczałtem.

Nr. 29 | Niedziela, dnia 18 lipca 1926 roku | Rok 2

Adres Redakcji: Łódź, Piotrkowska 85

Telefon Nr. 45-50

Godziny przyjęć: od 5—7 popoł. prócz niedziel i świąt

Konto w P. K. O. Nr. 63,353.

Przedstawicielstwa Redakcji i Administracji: w WARSZAWIE: Alfred Wilecki, Wilcza 16, tel. 305-07 | w POZNANIU: Jan Kozubski, Skarbowa 7, tel. 28-58

PRAWDA

Cena egzemplarza 30 groszy

W prenumeracie z dostawą do domu 4 zł. na trzy miesiące

Konto w P. K. O. Nr. 63,353

NIEZALEŻNY ORGAN TYGODNIOWY

Sprawy tygodnia

MISJA PROF. KEMMERERA.

Po raz drugi przybył do Polski amerykański uczony ekonomista prof. Kemmerer w towarzystwie kilku rzeczoznawców dla spraw gospodarczych i tym razem gruntownie zabrał się do studjowania wszystkich dziedzin naszej gospodarki państwowej i społecznej. Z ramienia rządu polskiego towarzyszy misji Kemmerera prof. uniwersytetu krakowskiego Adam Krzyżanowski, znany polski ekonomista, gorący zwolennik idei obcej pomocy przy uporządkowaniu naszych zagadnień gospodarczych i skarbowych.

Charakterystycznem jest, że prof. Kemmerer przedewszystkiem przystąpił do szczegółowego badania stosunków agrarnych w Polsce i stanu naszego rolnictwa, zarówno wielkiego jak i drobnego. W tym celu prof. Kemmerer odbył szereg wycieczek, zwiedzając po drodze gospodarstwa rolne, urządzenia meljoracyjne, badając metody uprawy i eksploatacji zbiorów, hodowlę bydła i trzody i t. p.

Stanem przemysłu i wytwórczości przemysłowej prof. Kemmerer narazie się nie zajmował i wobec upływającego terminu jego pobytu w Polsce dziedziną tą tak gruntownie jak rolnictwem zajmować się nie będzie.

W dziedzinie gospodarki skarbowej prof. Kemmerer bada szczegółowo nasz system podatkowy i przedsiębiorstwa państwowe, zwłaszcza monopole i koleje.

Według oficjalnych zapewnień rezultatem badań misji prof. Kemmerera ma być raport, w którym zawarte zostaną wskazówki i rady, w jakim kierunku powinna iść gospodarcza i skarbowa polityka rządu polskiego w okresie sanacji i w przyszłości. Wskazówki te i rady byłyby w miarę możności realizowane przez rząd, posiadający szerokie pełnomocnictwa, zwłaszcza w dziedzinie gospodarczej.

Nie ulega jednak wątpliwości, że możliwym jest także i drugi rezultat. Mianowicie pomoc gospodarcza Ameryki w szerokim zakresie.

Wnosząc z toku prac misji prof. Kemmerera, pomoc tę otrzymałoby przedewszystkiem rolnictwo, jako najpoważniejsza gałąź wytwórczości polskiej, dająca wreszcie największe gwarancje korzystnego zużytkowania ewentualnych kredytów i regularnej ich spłaty. Poza przemysłem cukrowniczym i drzewnym w rolnictwie naszem dotychczas nie pracuje kapitał zagraniczny. W szczególności zaś wolny od wpływów zagranicznych jest handel zbożem, który żywo interesuje Amerykę. Handel ten wobec wywieranego dotychczas przez rząd nacisku na rozwój cen zboża i jego przetworów na rynku krajowym, po zlikwidowaniu tego nacisku i po wprowadzeniu gruntownych zmian do polityki wywozowej i przywozowej w odniesieniu do zboża i mąki, rokuje świetne widoki rozwoju i rentowności. Także w dziedzinie organizacji i rozwoju przemysłu młynarskiego wiele jest do zrobienia i zarobienia. Wszystko to jest w stanie żywo zainteresować kapitał amerykański i dlatego wolno się spodziewać, iż w raporcie prof. Kemmerera szczególny nacisk położony będzie na sprawy agrarne.

O ile zalecenia i wnioski prof. Kemmerera z dziedziny agrarnej zostałyby przez rząd polski zaakceptowane i zrealizowane, nie jest wykluczone, iż otrzymalibyśmy znaczniejszą pożyczkę na cele budżetowe na dogodnych warunkach, która pomogłaby nam ponosić bez trudu najniezbędniejsze wydatki na utrzymanie państwa na stopie i w rozmiarach, odpowiadających jego roli i powadze aż do czasu, gdy ożywienie życia gospodarczego automatycznie podniosłoby wydajność źródeł podatkowych i uczyniło gospodarkę skarbową samowystarczalną na odpowiednim i godnym państwa poziomie.

Pożyczka taka formalnie zabezpieczona byłaby na którymś z monopolów państwowych lub na majątku kolei państwowych.

Byłoby to najkorzystniejsze może dla nas rozwiązanie sprawy obcej pomocy, bowiem kapitał amerykański nie przywlókłby do Polski w swoim ogonie wpływów politycznych.

* * *

WICKHAM STEED.

W ślad za misją prof. Kemmerera przybył do Warszawy najwybitniejszy i najbardziej wpływowy publicysta angielski pan Wickham Steed, w czasie wojny światowej naczelny redaktor „Times'a" londyńskiego, a od kilku lat wydawca i redaktor świetnego i wpływowego tygodnika politycznego p. t. „Review of Reviews" (Przegląd Przeglądów).

Zazwyczaj dobrze poinformowana prasa niemiecka doniosła, że przyjazd Steeda do Warszawy jest w związku z misją prof. Kemmerera. Z doniesień prasy niemieckiej wynikałoby, że p. Steed z polecenia rządu angielskiego ma zalecać rządowi polskiemu rezerwę wobec propozycji p. Kemmerera, dając jednocześnie do zrozumienia, że kapitał angielski gotów jest na dogodniejszych warunkach współdziałać w gospodarczej odbudowie Polski.

Równocześnie podjęta w prasie niemieckiej oszczercza kampanja, mająca zdyskredytować w Polsce Kemmerera a w Ameryce stan gospodarczy Polski, jeszcze bardziej akcentuje charakter wizyty p. Steeda.

Wreszcie sam p. Steed zdradza cel swego pobytu w Warszawie. W wywiadzie, udzielonym jednemu z pism warszawskich, p. Steed na wstępie zaprzecza informacjom niemieckim i twierdzi, że znalazł się w Warszawie przypadkiem po pobycie w Pradze czeskiej, ale już w następnych zdaniach ostrzega rząd polski przed pośpiechem w rokowaniach o pożyczkę zagraniczną.

> „Polska popełni błąd nie do darowania, podpisując jakąkolwiek pożyczkę zbyt pośpiesznie i na warunkach nie tak dogodnych, jakie może uzyskać.
>
> Polska ma wszelkie dane do uzyskania dogodnej a dużej pożyczki. Musi ją tylko kapitał angielski bliżej poznać, co niebawem nastąpi".

Angielski kapitał miał wiele powodów uważać Polskę za przyszły teren swej działalności. Pod adresem angielskim kierowaliśmy nasze pierwsze prośby pożyczkowe (podróż min. Kucharskiego). Angielski rzeczoznawca p. Young był pierwszym, który badał gospodarczy stan Polski przed pierwszą sanacją waluty, Anglicy zdobyli wpływ na nasz przemysł cukrowniczy, zdobyli koncesje leśne, elektryczne, komunikacyjne, zainteresowani są w przemyśle włókienniczym, w bankach i t. p. Celem polityki kapitału angielskiego było opanowanie Banku Polskiego i zdobycie wszechwładnego wpływu na całą gospodarkę polską a pośrednio także i kontroli nad gospodarką państwową.

Propozycje Younga zostały wtedy przez p. Władysława Grabskiego odrzucone jak również i warunki angielskie co do udziału w Banku Polskim. Skutkiem tego Londyn również odrzucał wszelkie zabiegi polskie o pożyczkę, doradzając nam udanie się do „Ligi Narodów".

Gdy więc obecnie nieoczekiwanie w sferze możliwości znalazła się dla nas pomoc amerykańska — zabiegi angielskie o odzyskanie wpływów są zrozumiałe.

W każdym bądź razie wolno nam mniemać, iż po długim okresie niepowodzeń, konjunktura zwraca się znowu ku nam i trudności w uzyskaniu pomocy zagranicznej maleją. Okazji tej zmarnować nam nie wolno przez bierne wyczekiwanie, bo konjunktura jest kapryśna i płochliwa. Raport Kemmerera nie może podzielić losu raportu Younga, bo prawdopodobnie trudniej byłoby usprawiedliwić się z tego.

* * *

USTAWA KONSTYTUCYJNA.

Opracowany przez komisję konstytucyjną sejmu projekt zmiany konstytucji wszedł na porządek dzienny obrad plenarnych.

Zmiany, zaproponowane przez komisję dotyczą następujących przepisów:

1) Proporcjonalność przy wyborach do sejmu zostaje zniesiona, 2) wiek wyborców podniesiono do lat 24 (dotychczas 21), 3) Najniższą granicę wieku dla posłów ustalono na lat 30 (dotychczas 25), 4) Poseł może być pociągnięty do odpowiedzialności za działalność poza sejmem, 5) Sejm i senat mają uchwalić budżet w ciągu 5 miesięcy. Termin dla sejmu wynosi 3 i pół miesiąca — jeśli upłynie bez uchwały — budżet idzie do senatu, jeśli poprawek i zmian, zaproponowanych przez senat, sejm w ciągu 15 dni nie odrzuci, Prezydent ogłasza budżet. Jeśli sejm odrzuci całą ustawę budżetową, terminy te nie mają zastosowania, 6) Prezydent otrzymuje prawo rozwiązywania sejmu na zasadzie uchwały rady ministrów pod pewnymi warunkami, 7) W czasie, gdy sejm jest rozwiązany Prezydent Rzeczypospolitej ma prawo wydawania rozporządzeń z mocą ustawy z pewnymi ograniczeniami.

W ten sposób wszystkie żądania rządu zostały w komisji uwzględnione, a od siebie komisja dodała jeszcze zmiany, dotyczące pluralności w prawie wyborczem i granicy wieku wyborców i posłów oraz nietykalności poselskiej. Dodatkowe te zmainy prowadzą do zmiany ordynacji wyborczej.

Zmiany te nie uzyskały w komisji potrzebnych dwuch trzecich głosów sejmu, gdyż w komisji niektóre stronnictwa wstrzymały się od głosowania, na plenum jednak głosować będą za zmianami.

Los ustawy konstytucyjnej rozstrzygnie się ostatecznie między 20 a 25 lipca — poczem sejm zostanie odroczony do października.

Rząd w swoim projekcie przewidywał termin 3 miesięcy na uchwalenie budżetu. Sejm miał się zbierać we wrześniu tak, aby budżet mógł być uchwalony przed nowym rokiem. W toku obrad zgodzono się na termin 5 miesięcy. Sejm zbiera się w październiku i kończy swoją sesję po pięciu miesiącach od dnia, w którym budżet zostanie przedłożony do zatwierdzenia. Skutkiem tego musiano przywrócić projekt ministra Zdziechowskiego, przesuwający początek roku budżetowego z 1 stycznia na datę późniejszą — prawdopodobnie 1 maja lub 1 czerwca. Sesje sejmowe trwać będą przeto conajmniej pół roku.

* * *

PEŁNOMOCNICTWA.

Poza zmianami w konstytucji najważniejszą dla rządu była sprawa pełnomocnictw, na zasadzie których mógłby wydawać bez aprobaty sejmu rozporządzenia, mające moc ustaw w ciągu jak najdłuższego czasu.

Słusznie też przewidywano, iż ta sprawa będzie najtrudniejszą do przeprowadzenia w sejmie. O ile bowiem zmiany w konstytucji nie dotyczą bezpośrednio obecnego rządu, lecz wszystkich przyszłych rządów w Polsce i ustroju państwa, o tyle ustawa o pełnomocnictwach daje obecnemu rządowi bardzo szeroką władzę — w pewnych dziedzinach prawie nieograniczoną

Sejm wystawia — uchwalając pełnomocnictwa — weksel bez określenia sumy i daty płatności. Na to potrzeba już wielkiego zaufania, albo przymusu.

W tym wypadku mamy do czynienia z rodzącem się zaufaniem. Domagano się wprawdzie, aby rząd przedstawił program swoich zamierzeń, aby powiedział, w jaki sposób zamierza wykorzystać pełnomocnictwa — gdy jednak minister Makowski zapewnił komisję że rząd dla uporządkowania stosunków gospodarczych, prawnych i skarbowych pełnomocnicwa mieć musi, gdy wreszcie premjer Bartel oświadczył, że kwestja pełnomocnictw jest dla rządu kwestją pozostania lub odejścia, komisja, rezygnując z przedstawienia sobie programu, ustawę o pełnomocnictwach do 31 października 1927 roku uchwaliła.

Większość, która na plenum za tymi pełnomocnictwami będzie głosowała, i w przyprzyszłości prawdopodobnie dawać będzie oparcie rządowi.

Drogą rozporządzeń na zasadzie tych pełnomocnictw rząd nie będzie miał prawa rozstrzygać następujących spraw: podwyższania opłat i podatków, ustanawiania nowych monopoli, zmiany ordynacji wyborczej do sejmu senatu i samorządów, ani zmiany ustaw samorządowych.

Gdy ustawa o pełnomocnictwach uchwalona będzie przez sejm rząd będzie mógł przystąpić do samodzielnej pracy twórczej we wszystkich dziedzinach życia państwowego. Władzę ustawodawczą posiadać będzie rząd do 31 października 1927 r. na zasadzie ustawy, a później z mocy konstytucji jeszcze przez szereg miesięcy, gdyż z końcem roku 1927 upływa kadencja obecnego sejmu, a do czasu zebrania się nowego sejmu — w październiku 1928 roku Prezydent Rzeczypospolitej ma prawo wydawania ustaw w trybie rozporządzeń.

Szmat czasu. Cudów nie oczekujemy, ale o wiele, wiele więcej można w ciągu tego czasu zrobić, niż zrobiły obydwa sejmy w ciągu siedmiu przeszło lat.

* * *

REORGANIZACJE.

Ciągle się u nas coś reorganizuje, a ostatnio wybuchła istna epidemja reorganizacji. Reorganizuje się w ministerstwach, w województwach, w instytucjach wojskowych, w izbach skarbowych, na kolejach, na poczcie, w monopolach — słowem wszędzie.

Reorganizacje te polegają na masowem wypowiadaniu miejsc pracownikom niesta-

Treść numeru

łym, na zmianach osób na wyższych stanowiskach, przesunięciach, przeprowadzkach i podróżach. Procentowo rzecz przedstawia się w ten sposób, że 99 procent reorganizacji dotyczy osób i nazw, a zaledwie 1 procent i to jeszcze niewiadomo czy cały przypada na reorganizację systemu.

Właściwą reorganizację, która wreszcie przyjść musi wyobrażamy sobie odwrotnie: 99 procent zmiany w systemie i 1 procent w szczegółach osobowych i innych.

Zmiana systemu da w rezultacie automatycznie cyfrę pracowników potrzebnych. Ubocznym szczegółem będzie wówczas określenie zasad redukcji personalnej. Dziś zasady te stanowią istotę reorganizacji — nic dziwnego, że po każdej reorganizacji, jak po pogromie na nowo trzeba zaczynać i że takie reorganizacyjne podgalanie i przystrzyganie biurokracji wzmacnia tylko jej wzrost w korzeniach.

Reorganizować należy system a zacząć trzeba od opracowania planu. Do tej pracy należałoby zaprosić fachowców zagranicznych. Przecież nie wszędzie na świecie „droga urzędowa“ jest tak przepaścistym labiryntem jak u nas, przecież nie wszędzie zdobycie dokumentu urzędowego jest plagą i dopustem, który każdy dotknięty nim z ochotą zamieniłby na pokaźną grzywnę lub ofiarę pieniężną... i niejeden zamienia... na łapówkę, przecież nie wszędzie zużywa się tyle energji na bezcelowe zapisywanie tysięcznych papierków, przecież nie wszędzie możliwą jest taka samowola i tyranja urzędów i urzędników, jak u nas.

Niechaj przyjedzie do Polski jakiś Kemmerer czy Young, specjalista od dolegliwości administracyjnych, niechaj od A do Zet wyłoży nam jak powinna być zorganizowana praca w urzędach i komunikacja między urzędami — niech nauczy tej sztuki naszych naczelników, kierowników, radców i dyrektorów. Wówczas dopiero zobaczy się ilu ludzi w każdym urzędzie jest zbędnych i wówczas ustali się, kto ma odejść a kto pozostać.

Własnymi siłami tego nie dokonamy. Możemy o własnych siłach przeprowadzić sanację skarbu i waluty — własnymi siłami zmóc kryzys gospodarczy, możemy własnymi siłami pokonać każdego wroga wewnętrznego i zewnętrznego, obniżyć stopę procentową, zmniejszyć bezrobocie, ożywić ruch budowlany, osuszyć błota pińskie ale własnymi siłami nie dokonamy jednego dzieła: nie uporządkujemy administracji, nie przeprowadzimy prawdziwej reorganizacji naszego systemu biurokratycznego.

Waloryzacja ceł

Sprawa waloryzacji stawek celnych interesuje umysły w Polsce już od szeregu miesięcy, to jest od chwili poważniejszego załamania się kursu naszej waluty. Jednakże poruszona początkowo raczej tylko teoretycznie, weszłą w końcu r. z. i początku bieżącego, gdy spadek wartości stawek celnych wyrażał się już w dziesiątkach procentów, w sferę z naciskiem podkreślanych postulatów niektórych gałęzi przemysłu. Ostatnio, jak wiadomo z przemówień p. min. skarbu w Izbach prawodawczych, podwyżka dochodów celnych przez stopniowe przywrócenie stawkom ich dawnej relacji do złota, włączona została również do programu finansowego naszego rządu. Zamierzenie to spotkało się ze sprzeciwem sejmu, który w uchwalonej rezolucji wypowiedział się przeciwko podwyższeniu ceł. Z punktu widzenia ogólno-gospodarczego słusznej tej i uzasadnionej uchwale nie przyklasnąć niepodobna, gdyż trudno jest nie podzielać obawy sfer sejmow. przed gwałtownem podniesieniem się poziomu naszych cen. Ten bezpośredni skutek waloryzacji ceł wydaje się całkowicie nieuchronnym mimo wszelkie argumenty jej zwolenników i propagatorów. Jest to równie niewątpliwe, jak to, że właśnie równoległy ze spadkiem kursu spadek wartości stawek celnych był jedną z doniosłych przyczyn o tyle słabszego spadku wartości wewnętrznej, aniżeli zamiennej złotego. Z tego punktu widzenia zatem, przy uwzględnieniu wysokiego naogół poziomu ochronnego naszych stawek, przywrócenie temu ważnemu współczynnikowi ogólno-gospodarczemu jego dawnej pełno-złotej wartości wydawać się musi raczej nader ryzykownem. Nie mniej ryzykownem wydaje się również nieuniknione podrożenie kosztów produkcji przemysłowej naskutek wzrostu cen licznych artykułów, z konieczności przez przemysł dla przerobu lub jako środek pomocniczy z zagranicy sprowadzanych.

Z drugiej strony nieuniknione zmniejszenie się ogólnej cyfry naszego przywozu musiałoby z konieczności tak dalece zneutralizować efekt końcowy podwyżki stawek, że i skarb nie miałby z tego źródła wpływów zwiększonych.

Skoro więc nasze sfery rządowe zdają sobie sprawę ze wszystkich tych okoliczności — o czem przecie wątpić nie można — to dlaczegóż mimo to nadają sprawie waloryzacji ceł teraz właśnie charakter tak aktualny?

Przyczyny tego dopatrywać się należy w prowadzonych obecnie rokowaniach traktatowych z Niemcami. W rokowaniach tych nasze stawki celne traktowane są jako pełnowartościowe, i gdy mówi się o konwencyjnych ulgach celnych, to oblicza się je od cła pełnego, nie uwzględniając zupełnie jego zredukowanej o połowę blisko wartości. Z tego, rzecz oczywista, wyniknąć mogą dla wytwórczości polskiej następstwa zgoła nieobliczalne. I o ile nie podzielamy wysokocłowej polityki niektórych gałęzi naszego przemysłu, podniecającej bierność i usypiającej wszelki wysiłek twórczy, o tyle w tej sprawie z całem przekonaniem bronić musimy jego słusznej opozycji przeciwko negocjowaniu tak doniosłego zagadnienia gospodarczego, jak traktat z Niemcami, na podstawie fikcji.

Godząc się zatem z tej jedynej przyczyny z koniecznością przywrócenia naszej taryfie celnej jej wagi i wartości taryfy złotej, jaką jest ona obecnie tylko nominalnie i teoretycznie, wyrazić musimy jednak przekonanie, że rząd nasz w dobrem zrozumieniu groźnej obosieczności poczynania jednocześnie z waloryzacją przywróci zasadę ulg autonomicznych, które stanowić mogą i będą jedyny instrument w ręku rządu, umożliwiający regulowanie warunków celnych pod kątem widzenia szerokich potrzeb gospodarczych wogóle, a potrzeb produkcji przemysłowej w szczególności. Tylko przez równoległe ustanowienie mądrze i roztropnie opracowanych list ulgowych rząd nasz zdoła uchronić gospodarstwo nasze przed groźnem wstrząśnieniem, które w znacznym stopniu osłabićby mogło wytworzone w ostatnim czasie przyjazne dla naszej naprawy gospodarczej konjunktury.

Zachwianie tych konjunktur przez dotkliwy wzrost poziomu cen może być uniknięte, lub przynajmniej bardzo silnie złagodzone tylko i jedynie przez rozumne skonstruowanie i bardzo elastyczne traktowanie ulg autonomicznych, które jedynie będą w stanie uchronić koszta produkcji przemysłowej przed niepożądanym wzrostem, a konsumenta polskiego przed nową falą zgubnej drożyzny.

M. B.

IDEOLOGJA POLSKI

Romantycy polscy marzyli, że Polska jest odkupicielem, Mesjaszem narodów; Cieszkowski udawadniał tezę, że „Bóg myśli narodami, nie jednostkami“ — że więc pełnię planu Stwórcy świat ujrzy dopiero gdy Polska, odkupiona męczeństwem niewoli, powróci do rodziny narodów wolnych. Wiara, iż Polska wniesie nowe wartości do cywilizacji, była tak powszechną, że Wyspiański, pomimo zwalczania Mesjanizmu, wyrzucał jednak Bogu, iż

„...Ty nie znasz nas Polaków — Ty nie wiesz, czem być może, Straż Polska z pod Twych znaków...“

Kiedy parę lat po zakończeniu wojny, Polska na zewnątrz nietylko nie wywierała wpływu, ale nie mogła zdobyć się na wyrazistą własną linję — na wewnątrz zaś wahała się między zapewnieniami o uznawaniu i poszanowaniu podstaw kultury zachodniej — a zgoła wschodniemi ideami uszczęśliwiania jednych warstw kosztem wywłaszczenia innych — Żeromski pierwszy podniósł larum z powodu zaniku ideologji w Polsce.

W „Przedwiośniu“, które wywołało tyle nieporozumień i sprzecznych komentarzy, Czarusiowi, wychowanemu w Rosji i przesiąkniętemu ideologją bolszewicką, przeciwstawia „szklane domy“, rzekomo zabudowujące Polskę, oraz kooperatywy, rzeczywiście popierane przez rząd polski.

Bezprzykładna nędza, do jakiej Polska doszła, tak dalece przesłoniła całe życie, że nawet poeta walkę z nią stawia na pierwszem miejscu problemów, narzucających się Polsce do rozwiązania. Naród musi osiągnąć pewien poziom dobrobytu, musi być zwolnionym przedewszystkiem z troski o codzienny chleb powszedni, aby móc rozwinąć swe możliwości kulturalne i twórczość w duchowych dziedzinach życia.

H. Emerson, na czele swoich „Dwunastu zasad wydajności“ — stawia jasne sprecyzowanie celu. Podział resortów ministerjalnych ma właśnie za zadanie dobór „właściwych ludzi na właściwem miejscu“, z których każdy pracowałby dla jaknajwydatniejszego wypełnienia celów swojego resortu. Kiedy więc b. minister St. Grabski, tak daleko posuwał oszczędność, że groziło to zamknięciem laboratorjów na politechnice i samo istnienie w tych warunkach wydziału chemicznego stawało się absurdalnem — był może dogodnym współpracownikiem ministra skarbu — ale nie spełniał celów ministerjum oświaty, a zatem nie był właściwym człowiekiem na właściwem miejscu.

Zrozumiałą więc konsternację wywołało w społeczeństwie przemówienie ministra Kwiatkowskiego, iż celem jego resortu jest... „o d b u d o w a p o d a t n i k a“... wprawdzie drogą odbudowy zniszczonej substancji majątkowej oraz odbudowy dobrobytu — niemniej jednak, jeśli wyrażenie celu Min. P. i H. w „odbudowie podatnika“ nie było lapsusem tylko, świadczyłoby to, iż psychoza fiskalizmu ogarnia w Polsce wszystkich, z chwilą uzyskania władzy.

Niegdyś, w zamierzchłych czasach absolutyzmu, istniała przeciwstawność pojęć: państwo i poddani. Państwo reprezentował monarcha absolutny, który ustanawiał rząd mniej lub więcej „oświecony“, aby z poddanych wyciągnąć żołnierzy i podatki. Celem więc istnienia „poddanych“ było dawanie rekruta i płacenie podatków. Demokratyzacja jednak zamieniła „poddanego“ na „obywatela“, uważającego państwo za syntezę swej zbiorowości. „Społeczeństwo więc, składające się z wolnych obywateli, nie może być objektem wyzysku dla „państwa“ — gdyż jest jego częścią składową — a niedomaganie i cierpienie części odbija się na całości.

Nie jest to tylko czczy spór o słowa — gdyż przerost fiskalizmu w Polsce jest jeszcze niebezpieczniejszy, aniżeli przerost biurokracji. Polska, aby móc wszechstronnie rozwinąć swe zdolności twórcze, wnieść swoiste, własne wartości do kultury, spełniać swą misję historyczną ośrodka cywilizacji we wschodniej Europie — musi wybrnąć z kłopotów i trosk przyziemnych o chleb powszedni, musi zdobyć taką sumę dobrobytu, aby myśl i wola mogły sięgnąć do wyższych regjonów możliwości rozwojowych.

Dobrobyt społeczeństwa jest niemożliwy bez ustabilizowanej waluty, zaś stała waluta — bez zrównoważonego budżetu. Dlatego społeczeństwo wyłania z pośród siebie rząd, a w nim resorty gospodarcze, których zadaniem jest strzec równowagi budżetu, celowości wydatkowania ze skarbu i t. p.

Jeżeli rząd uzna skarb nie za jedną z potrzeb społeczeństwa, lecz za cel sam w sobie — prowadzi to do tak żałosnych rezultatów, jak „sanacja“ p. W. Grabskiego, która przywiodła społeczeństwo na krawędź ruiny i ostatecznie zakończyła się załamaniem waluty i pustką w skarbie. Dla rządów zaborczych społeczeństwo polskie było tylko grupą „podatników“, których w interesie własnym należało „odbudowywać“ i utrzymywać siły płatnicze — dla narodu wolnego, skarb, jak i cały rząd, są emanacją pewnych sił, wyłonionych do spełnienia pewnych funkcji.

P. ministra Kwiatkowskiego, zanim objął tękę min. P. i H., znaliśmy z dwóch pięknych książek: „Węgiel jako surowiec chemiczny“ i „Przemysł chemiczny na tle wielkiej wojny“. W książkach tych jest entuzjastycznym rzecznikiem tworzenia w Polsce przemysłu chemicznego, ze względu na jego ważność zarówno w zabezpieczeniu państwa własnemi siłami obronności w razie wojny, jak i podniesieniu dobrobytu społecznego w czasie pokoju. Jaknajgoręcej należałoby życzyć, aby się uleczył z psychozy krótkowzrocznego fiskalizmu, i na stanowisku ministra dążył do urzeczywistnienia programu zawartego w wyżej wymienionych pracach. Wskazania, głoszone tam, streszczające się w haśle: „l'union intime du savant et de l'usine“ — otwierają znacznie szersze horyzonty, aniżeli podporządkowanie całego życia i redukowanie wysiłków do wymagań fiskusa.

Dr. M. Zawadzka.

Stabilizacja złotego

Bank Polski na końcu I. półrocza 1926.

Według zapewnień — między innymi także i ze strony miarodajnych czynników w Banku Polskim — stabilizację złotego na poziomie 9.15 — 9.20 zł. za jeden dolar należy uważać za dzieło dokonane. Rzeczywiście też od początku lipca kurs dolara utrzymuje się na tym poziomie nietylko na giełdzie oficjalnej, ale także i w handlu prywatnym.

Wykaz stanu rachunków Banku Polskiego w dniu 30 czerwca 1926 r. pozwala nam ocenić zasoby, jakiemi ta instytucja rozporządza, decydując się na nowo ująć w swoje ręce losy kursu złotego.

Zapas złota, leżącego w skarbcu Banku i zdeponowanego zagranicą wynosił dnia 30 czerwca 134,695,869 zł. (zagranicą 78 i pół milj. zł.).

Zapas walut obcych, dewiz i należytości zagranicznych 78,548,690 zł. — Razem złotych 213,244,559.

Kapitał ten obciążony jest długiem w walutach zagranicznych na ogólną sumę złotych 68,966,470. — Pozostaje przeto złotych 144,278,089 jako fundusz, zabezpieczający obieg banknotów złotowych.

Banknotów tych było w tym samym dniu w obiegu **448,013,160 złotych.**

Pokrycie wynosi zatem 32,2 procent, czyli prawie tyle, ile nakazuje ustawa Banku.

Jeżeli przeto Bank Polski zdecydowany jest bronić kursu złotego na obecnym jego poziomie, to widocznie zdecydowany jest także niepowiększać pod żadnym pozorem obiegu banknotów, wyjąwszy naturalnie wypuszczenie nowych banknotów na zakup złota i walut zagranicznych, co nie wpływa w niczem na stosunek procentowy pokrycia.

O rozszerzeniu działalności kredytowej w postaci dyskonta weksli, lombardu papierów i t. p. mowy być nie może narazie.

Powstaje jednak pytanie, czy obieg banknotów w tej wysokości, a raczej, czy zakres działalności kredytowej Banku w obecnych jej rozmiarach jest wystarczający i czy będzie możliwem uszczuplenie obiegu w drodze ograniczenia kredytów, jeśli przyjdzie stoczyć czynną walkę w obronie kursu.

Cyfra obiegu z końca czerwca r. b. jest w tym roku największą.

W końcu stycznia obieg wynosił	361,9	milj. zł.
W końcu lutego	376,8	„ „
W końcu marca	389,4	„ „
W końcu kwietnia	392,8	„ „
W połowie maja	379,5	„ „
W końcu maja	412,9	„ „
10-go czerwca	423,6	„ „
20-go czerwca	415,5	„ „
30-go czerwca	448,0	„ „

Przy takiej cyfrze należycie pokrytego obiegu zdolność manewrowania nim celem utrzymania równowagi kursu jest już bardzo znaczna, nawet bez uciekania się do ostateczności w postaci ograniczeń kredytowych. Aby zachwiać kursem złotego musianoby zmobilizować conajmniej kilkadziesiąt miljonów złotych i rzucić je na giełdę na kupno walut zagranicznych — a zmobilizowanie takiej sumy w ciągu kilku dni nie jest w naszych warunkach prawdopodobne bez pomocy Banku Polskiego, który oczywiście pomocy takiej nie udzieliłby, a nawet postawiłby poważne przeszkody przeciw podobnym poczynaniom.

Z tych względów sądzimy, że Bank Polski obrał najstosowniejszy moment dla podjęcia na nowo w całej pełni swych funkcji regulatora i stróża kursu złotego i że posiada w dostatecznie szerokim zakresie wszelkie możliwości i środki, aby funkcje te spełniać.

Niema tylko jednego: możności powiększenia obiegu na cele gospodarcze, na rozszerzenie działalności kredytowej — ale stabilizacja złotego po pewnym czasie stworzy szereg innych nowych źródeł kredytu.

SUKCES, CZY NIEPOWODZENIE RZĄDU

W ten sposób stawiają pewne koła polityczne sprawę zmiany konstytucji A tymczasem chodzi o Rzeczpospolitą.

Obrady komisyjne nad zmianami w ustawie konstytucyjnej zostały zakończone. Projekt komisji wchodzi pod obrady plenum i w ciągu nadchodzącego tygodnia będzie przegłosowany.

Projekt, który wychodzi z warsztatu komisji konstytucyjnej nie jest projektem rządowym. W toku obrad uwzględniono postulaty wysunięte przez inne stronnictwa w ich projektach, tak że na plenum sejmu idzie projekt nowy, kompromisowy, mający już nawet swoją nazwę „Lex Chaciński“ od nazwiska referenta w komisji i na plenum.

Skutkiem takiego rozwoju sprawy powstała kwestja, czy rząd ma do zapisania na swoim rachunku niepowodzenie czy sukces. Kwestja ta gorąco dyskutowana jest w obozie zwolenników rządu prof. Bartla, a ściślej w obozie, który od pierwszej chwili solidaryzował się z przewrotem majowym.

Charakter tej polemiki najlepiej uwidacznia się na łamach „Nowego Kurjera Polskiego“ pisma rządowego — nieomal półoficjalnego i na łamach „Kurjera Porannego“ organu ideowych zwolenników marszałka Piłsudskiego i obecnego rządu... do niedawna, gdyż obecnie organ ten w stosunku do niektórych posunięć rządu zajmuje stanowisko opozycyjne.

„Nowy Kurjer Polski“ twierdzi, że obrót, jaki przybrała sprawa zmiany konstytucji należy traktować jako sukces rządu i niedwuznacznie zwraca się przeciw tym, którzy spodziewali się jakichś radykalnych przewrotów po wypadkach majowych.

Niesłuszne były zatem zarzuty, stawiane przez wiecznych malkontentów, jakoby zmiana konstytucji „tonęła w chaosie poprawek“ i „wprawiała w dobry humor jedynie „Chjeno-Piasta!“ Przyjęte brzmienie zmian w konstytucji odbiega wprawdzie pod względem redakcyjnym od przedłożenia rządowego, ale rzeczowo zupełnie mu odpowiada. Utrzymana została zasada wyznaczenia terminu dla prac budżetowych parlamentu; przedłużenie tego terminu o miesiąc i podział zakreślonego czasu między sejm i senat w niczem nie przeszkadza rządowi; rozpoczynanie roku budżetowego nie od stycznia lecz od kwietnia lub lipca tylko zupełnym ignorantom może się wydać „najgenjalniejszym z pomysłów p. Zdziechowskiego“ i razić ich swą „niedorzecznością“. W całym szeregu krajów wprowadzono już tę inowację, jako przystosowanie się do toku prac parlamentarnych, a teoretycy prawa budżetowego uważają zerwanie z tradycją identyfikowania roku budżetowego z kalendarzowym za najwłaściwszy sposób uniknięcia miesięcznych prowizorjów i wytwarzanego przez nie chaosu w gospodarce państwowej.

Dalej uzyskał rząd prawo rozwiązywania sejmu przez Prezydenta Rzplitej, z tem słusznem zastrzeżeniem, że nie można rozwiązać dwukrotnie sejmu z tego samego powodu.

Znaczna, ale raczej szczęśliwa zmiana, nastąpiła w artykule, dotyczącym prawa veta Prezydenta. W pierwotnym projekcie rządowym Prezydent miał mieć możność powstrzymania ustawy, uchwalonej przez sejm, w celu ponownego jej rozpatrzenia i zatwierdzenia bezwzględną większością ustawowej liczby posłów; w praktyce oznaczałoby to niejednokrotnie wypowiedzenie się Prezydenta po stronie mniejszości opozycyjnej. Przy obecnej redakcji niebezpieczeństwo wciągnięcia Głowy Państwa w wir walk politycznych jest wykluczone; zamiast wkraczać w spory partyjne, Prezydent staje się rozjemcą między sejmem a senatem.

Wreszcie w najważniejszym punkcie projektu rządowego — w przepisie o wydawaniu rozporządzeń Prezydenta Rzplitej z mocą ustawy, rząd odniósł całkowite zwycięstwo. Rozróżniono tu dwie ewentualności: pierwsza zachodzi wtedy, gdy izby są rozwiązane; druga, gdy istnieją, ale nie zasiadają. Otóż w pierwszym wypadku Prezydent uzyskuje prawo wydawania dekretów bez powoływania się na specjalne upoważnienie ustawowe, czerpiąc je wprost z konstytucji, — we wszystkich sprawach, prócz zmiany konstytucji, zasad samorządu terytorjalnego, budżetu, stanu liczebnego wojska, zaciągania pożyczek i zbycia majątku państwowego, kontroli długów, umów międzynarodowych, wypowiadania wojny i ustawy o trybunale stanu.

Załamywanie rąk nad rzekomem niepowodzeniem rządu w sprawie reformy konstytucji i ustępliwością jego wobec pomysłów partyjnych jest więc zupełnie nieusprawiedliwione. Dziwi ono tembardziej ze strony tych, którzy dopatrywali się „niewątpliwego posmaku dyktatury, zawartego w rządowym projekcie zmiany konstytucji“. Ani posmaku takiego nie było, ani tembardziej po przeredagowaniu projektów rządowych w komisji — teraz go niema. Okazuje się, że anegdotka o „podróży przez Zawrat“ do Morskiego Oka miała się zupełnie inaczej. Ktoś, wdrapawszy się na Zawrat konstytucyjny stracił orjentację; dostał zawrotu głowy i nie mógł rozpoznać, co leży wyżej, a co niżej. Zwykły to wypadek z „ceprami“, niebacznie pnącymi się na wirchy i turnie. Takim turystom należałoby unikać Orlich Perci i nie sięgać dalej, niż po Nosal.

* * *

Wręcz przeciwnego zdania jest „Kurjer Poranny“. Organ ten twierdzi bez ogródek, że owoce przewrotu majowego zgarnia prawica z „Piastem“ i że przy pierwszej nadarzającej się sposobności większość, która wydała rząd posła Witosa, zagarnąwszy owoce przewrotu policzy się w dodatku z twórcami tego przewrotu. „Kurjer Poranny“ wzywa rząd do opamiętania się i pokazuje mu przepaść, ku której rzekomo pędzi.

Organ Prezydjum Rady Ministrów jest zachwycony zwycięstwem rządu w komisji konstytucyjnej sejmu i wpada w histeryczny gniew na „ignorancję“ tych, którzy nie mogą dojrzeć tego zwycięstwa, a przeciwnie widzą tylko szalone upojenie radości w obozie „Chjeno-Piasta“ z powodu, iż „rząd rokoszu“ pomaga mu w próbie prowadzenia takich zmian konstytucyjnych, o jakich ten obóz przed „wypadkami majowymi“ zaledwie śmiał marzyć.

Niedaleka już przyszłość pokaże, jakie będą dalsze losy tej wyprawy na wirchy i turnie sejmu z grudnia 1922 roku — i kto z tych turni i wirchów runie w przepaść — ludzie rządu z dnia 9 maja czy ludzie rządu z dnia 15 maja.

* * *

Rząd istotnie zaszedł — a raczej zaprowadzony został — daleko dalej niż chciał. Jest to rzecz zupełnie bezsporna. Sam jest zdumiony, że „cel swój osiągnął prędzej niż przypuszczał“. Proklamuje w swoim organie — doznającym istotnie zawrotu głowy z powodu tego zdumiewającego wdrapania się na rzekomy szczyt marzeń rządowych — że „przyjęte brzmienie zmian w konstytucji odbiega wprawdzie pod względem redakcyjnym od przedłożenia rządowego, ale rzeczowo zupełnie (!!) mu odpowiada“. Chcącemu nie dzieje się krzywda — powiadają. W tym wypadku jednak mamy wrażenie, że rząd nie zdaje sobie sprawy z tej krzywdy, jaką czyni sobie, ale nietylko sobie, bo i państwu.

* * *

Warunkiem przywileju ustawodawczego dla rządu może być tylko ograniczenie tego przywileju co do czasu i co do osób, które mają z niego korzystać. Za przyznaniem tego przywileju Prezydentowi Mościckiemu i obecnemu rządowi oświadcza się opinja publiczna, stojąca za Przełomem Majowym. Ale obecny rząd nie ma większości w izbie, jest przez tę większość znienawidzony. Nie bawmy się w iluzje. Rząd obecny nie otrzymał votum zaufania izby, obszedł się bez nie i może być obalony parlamentarnie każdej chwili. Zapewne mało jest szans, aby obecny Prezydent zamianował nowy rząd po myśli większości, ale wiemy, z jaką trudnością Prezydent tworzył już gabinet Bartla.

Przy następnem przesileniu trudności te mogą być jeszcze większe. Konstytucja zaprzysiężona przez Prezydenta wymaga, aby rząd na żądanie sejmu ustąpił. Rząd obalony w ten sposób wniosku o rozwiązanie sejmu już legalnie czynić nie może. Może to uczynić dopiero rząd następny, o ile go Prezydent zdoła stworzyć. O ile go stworzyć nie zdoła, pozostaje mu jedynie — rezygnacja.

Nowe Zgromadzenie Elekcyjne może nas wtedy obdarzyć nawet p. Bnińskim, którego już dziś żadna siła nie może ruszyć z jego Palatynatu Poznańskiego. Nie będą śmieli? Ależ będą śmieli, dziś już śmią wszystko. Wymyślają sobie już nawet nawzajem, że niepotrzebnie się zlękli i wiedzą, że przy każdem przesileniu wojny domowej prowadzić przecież nie sposób. „Lex Chaciński“ jest przygotowaniem przywilejów ustawodawczych dla tej właśnie przyszłej władzy wykonawczej, bo — to jest jasne — równocześnie gruntuje polityczną wszechwładzę sejmu i partji sejmowych. „Lex Chaciński“ nietylko nie „usuwa sejmu na czas realizowania najpilniejszych reform“, nietylko „nie uwalnia rządu od wpływów krępujących go w skutecznem i szybkiem działaniu“, ale przeciwnie gwarantuje pięciomiesięczną sesję zimową obecnego sejmu dla roztoczenia wśród niej walki z obecnym rządem na tle budżetu.

* * *

Słuchajcie! Słuchajcie panowie ze „Związku Naprawy Rzeczypospolitej“. Myśleliście, że idzie o to, aby ograniczyć wszechwładzę sejmu i partji, aby usunąć zgniły sejm na czas realizowania najpilniejszych reform? Wprost przeciwnie! Idzie właśnie o to, aby „przystosować się do toku prac parlamentarnych“ tego sejmu, na którego usunięcie nalegaliście, sejm nie chce pracować w lecie, bo gorąco, bo pięknie, bo potrzebni do głosowania chłopkowie są zajęci swojemi uczciwszemi robotami na wsi. Sejm, ten właśnie sejm, chce się zjechać jednak we wrześniu, i psuć pracę rządu dopóty, dopóki znów nie będzie zielono. Trzeba się więc do tego przystosować! Jesteście „ignoranci“! Tak jest i w innych krajach.

W czemże mamy być lepsi od innych krajów! Dlaczegóż mamy zmuszać ten poczciwy sejm, aby nam uchwalił budżet albo nas obalił koniecznie przed nowym rokiem? Ażeby nie „wywoływać chaosu“, będziemy sobie tedy rządzili... prowizorjami — aż do przyszłego lipca i „jakoś to będzie“. Było tak przez lat siedem, czemuż tak być nie ma jeszcze przez 12 miesięcy? Byle „fortwursteln“ jak się mówiło w „Abgeordnetenhauzie“ we Wiedniu! Ażebyście wiedzieli, wy „ignoranci“, jak ten sejm jest kontent, że mógł kopnąć wasz projekt zmian konstytucji i swoją własną konstytucję ułożyć, do której my, rząd, tak skromnie, potulnie i nieśmiało zgłaszaliśmy swoje, cofane w razie skrzywienia, „poprawki“, to byście się rozpłakali ze wzruszenia nad tą idyllą.

Nie macie pojęcia, jak ten sejm, który mniemał, że jego ostatnia godzina wybiła 15 maja, który drżał i dygotał, że aż żal było patrzeć 30 maja wieczorem, nagle urósł w poczuciu własnej potęgi, własnej dumy, własnej wszechwładzy. Czy on sobie w najśmielszem marzeniu wyobrażał, że on właśnie będzie nadawał narodowi nową własnym pomysłem stworzoną konstytucję, że zniesie proporcjonalność w wyborach i faktycznie nietykalność posłów z lewicowych partyj radykalnych, a zabezpieczy sobie całą sesję zimowej jeszcze wszechwładzy? Trzeba przecie trochę liczyć na wdzięczność ludzką. Cóż takiemu wielkiemu i potężnemu sejmowi może wadzić rząd, wyręczający go w żmudnej pracy układania nudnych, fachowych mało ważnych politycznie ustaw?...

* * *

Jak widzimy, „Kurjer Poranny“ zwraca się do „Związku Naprawy Rzeczypospolitej“ organizacji, która hasła majowego przewrotu: odrodzenie moralne i umoralnienie życia publicznego wypisała na czele swego programu — zwraca się z oskarżeniem przeciw... rządowi.

Prasa prawicowa w dyskusji tej ze zrozumiałych względów udziału nie bierze. Spokojnie i przychylnie omawia wyniki obrad w komisji konstytucyjnej i coraz lojalniejsze zajmuje stanowisko wobec rządu prof. Bartla.

* * *

„Warszawianka“, organ, który najdłużej stosował wobec rządu bezwzględną opozycję — dzisiaj już obiecuje rządowi jaknajszersze pełnomocnitwa — tłumaczy mu tylko, że nie można tak znowu naraz wszystkiego żądać.

Rząd niewątpliwie określi nieco bliżej zakres swych zamierzeń rozporządzeniowych. Powinien także liczyć się ze zwykłym biegiem rzeczy, który mówi, że rzecz nową wprowadza się oględnie, co nie jest skąpstwem ani niechęcią. W każdym razie rząd może już dzisiaj uzyskać bardzo poważny zakres dla rozporządzeń, a gdy pierwsze doświadczenia będą dobre, może otrzymać wkrótce w dalszej ustawie dalsze upoważnienia, które uznałby za potrzebne.

P. P. S. o konstytucji i pełnomocnictwach

„Robotnik“ pisze:

Rząd domagał się tylko zmian, bezpośrednio związanych z t. zw. wzmocnieniem władzy wykonawczej kosztem sejmu. Ale Chjeno - Piast, ośmielony i zachęcony temi projektami, do których i sam oddawna wzdychał — dodał do tego jeszcze cały szereg innych rzeczy, leżących mu na sercu. A więc przedewszystkiem: zasadnicza zmiana konstytucyjnych przepisów o systemie wyborczym przez podwyższenie cenzusu, wieku i usunięcie proporcjonalności wyborów. Następnie i faktyczne zniesienie nietykalności poselskiej.

Rząd nie popierał tych projektów, ale też nie przeciwstawił się im ani jednem słowem. Stanęła jakgdyby cicha umowa między rządem a Chjeno - Piastem.

Jeżeli porównamy wyniki prac komisyjnych w dziedzinie zmiany Konstytucji z tym rozmachem, z jakim rząd przystąpił do rzeczy — to odrazu staje się jasnem, że cały jego projekt był i w zasadzie i pod względem taktycznym fałszywy i źle obliczony. Jak już pisaliśmy dawniej, okazało się, że „złapał kozak Tatarzyna, a Tatarzyn za łeb trzyma“. W dążeniu do t. zw. wzmocnienia władzy faktycznej zmniejszył swój autorytet, uzależniając się od Chjeno-Piasta.

I w końcu okazało się, że cały ten początkowy rozmach był niepotrzebny, że rząd na serjo nie traktował całości swego projektu, że mu chodziło tylko — poza prawem rozwiązania sejmu — o pełnomocnictwa na najbliższy okres!

Dano sposobność Chjeno-Piastowi do całego szeregu reakcyjnych uchwał, podkopano zasady demokratycznego parlamentaryzmu, aby wreszcie powiedzieć: właściwie chodzi nam tylko o to, żeby rząd w najbliższym okresie mógł fabrykować ustawy...

...Uzgodnienie ustaw z Konstytucją, reformy w administracji i t. d. — to zakres tak olbrzymi, że obejmować może wszystko, co się chce. Nietylko zakres jest olbrzymi, ale chodzi tu także o rzeczy pierwszorzędnej i zasadniczej wagi, jak ustawa o zgromadzeniach, ustawa prasowa, ustawa o wolnościach obywatelskich, kodeks karny, cywilny i t. d. i t. d. I wszystko to oddawać rządowi, który ukrywa, w jakim kierunku chce zmiany przeprowadzić?! Bo frazes o „uzgodnieniu z Konstytucją“ nic tu nie mówi! Wiemy, jak to nasza reakcyjna biurokracja i różni prawnicy, doradcy p. Makowskiego, umieją „uzgadniać z Konstytucją“ najbardziej antidemokratyczne projekty. Absolutnie nie mamy zaufania do „stałej delegacji zrzeszeń prawniczych“ i do biurokracji z Min. Sprawiedliwości, które mają się stać główną kuźnią owych „rozporządzeń z siłą ustawy“ — jakąś oszwałką sejmu.

A tu jeszcze przychodzi dobry p. Klarner i powiada: Zróbcie mnie wszechmocnym ustawodawcą w dziedzinie skarbowej — tylko mnie nie pytajcie, co zamierzam zrobić.

Habent sua fata libelli...

„Czas“ krakowski pisze:

Nie każdy wie, że sławne powiedzenie łacińskie, przytoczone w tytule, w całości brzmi: „habent sua fata libelli pro captu lectoris“ — co znaczy, że los książki zależy od tego, kto ją będzie czytał. Otóż „mutatis mutandis“ można będzie raz jeszcze stwierdzić prawdziwość łacińskiej maksymy i na rezultatach misji Kemmerera. Profesor Kemmerer, jak wiadomo, po gruntownem zbadaniu szeregu materjałów dostarczonych mu przez rząd, po odbyciu licznych konferencji z licznymi ludźmi miarodajnymi, i wreszcie opierając się na radach i zdaniu tak znakomitego i tak niezależnego znawcy finansów polskich, jakim jest prof. Adam Krzyżanowski, ma ułożyć obszerny i wyczerpujący raport o naszej sytuacji finansowej i ekonomicznej.

Ale oczywiście platoniczne uznanie nie wystarcza. Nie możemy zadowolnić się tem, że wszyscy odrazu się zgodzą, że raport Kemmerera jest dziełem znakomitym, by równie zgodnie żadnej z jego tez nie wprowadzić w życie. A w Polsce, przy naszym temperamencie i usposobieniu, to grozi stanowczo.

Nie są to czcze obawy. Prof. Kemmerer bawił w zeszłym roku w Chile, gdzie również przeprowadzał „sanację“. Wygotował memorjał, zawierający szereg wskazań. Zostały one niezwłocznie zrealizowane, w drodze dekretów Prezydenta (okazuje się, że pp. Bartel i Makowski nie wymyślili coś tak bardzo już nieznanego!). W Polsce zaczął wychodzić „Przegląd skarbowy“, w którego pierwszym numerze wiceminister skarbu Makowski ogłosił artykuł, podkreślający konieczność wprowadzenia w życie zaleceń Hiltona Younga w sprawie zrewidowania ilości emerytów i ich poborów, zawartych w jego memorjale z przed 2 i pół lat. Gdyby takie tempo zostało zastosowane do zaleceń prof. Kemmerera, lepiej odrazu jego misję rozwiązać.

Ruch w stronnictwach robotniczych

Na Górnym Śląsku przygotowuje się porozumienie pomiędzy Narodową Partją Robotniczą (N. P. R.) a Chrześcijańską Demokracją. Inicjatywa wyszła z łona Chadecji

Nie ulega wątpliwości, że ścisłe porozumienie między tymi dwoma stronnictwami doprowadzi do zupełnego zlania się ich w niedalekiej przyszłości, prawdopodobnie jeszcze przed wyborami do sejmu.

Byłby to bardzo ważny etap na drodze sanacji stosunków politycznych w Polsce i pierwszy krok do konsolidacji ruchu robotniczego.

Rozproszkowanie na szereg zwalczających się stronnictw nie przyniosło polskiej klasie robotniczej żadnych korzyści. Demagogja zastępowała światopogląd i program społeczny. Ruch zawodowy, osłabiony waśniami politycznymi, podupadł i doszło do tego, że zawodowe organizacje robotnicze — aby utrzymać jakątaką liczebność swych szeregów, wyrzekły się zupełnie działalności w kierunku uświadamiania klasy robotniczej o jej roli w nowoczesnym systemie społecznym i gospodarczym, a stały się li tylko komitetami strejkowymi i biurami do redagowania żądań podwyżkowych.

Klasa robotnicza dzisiaj jest znacznie mniej oświecona i uspołeczniona niż przed wojną, ale zato zdemoralizowana więcej niż kiedykolwiek.

N. P. R. i Chadecja, połączone w jedno stronnictwo robotnicze, mogą zapoczątkować sanację robotniczego ruchu zawodowego w Polsce.

ZAPOZNANIE ZNACZENIA ROLNICTWA

Przyczyna katastrofy ekonomicznej w Polsce.

Na obecną katastrofę ekonomiczną w Polsce złożyło się dużo przyczyn, lecz niezaprzeczenie najgłówniejszą z nich i stanowczo decydującą jest niepojmowanie roli i znaczenia rolnictwa w życiu gospodarczem Polski przez wszystkie dotychczasowe rządy Polski od chwili jej wskrzeszenia.

Jeśli nasz rząd tego nie rozumiał, ani nasz sejm, to jednak uczony cudzoziemiec Dr. Hilton Joung przed dwoma laty zwracał uwagę na to, że należy popierać rozwój rolnictwa, należy znieść cła wywozowe na zboże, by ten eksport zwiększyć, pisał bowiem w swym raporcie do p. prezesa rady ministrów:

„Ceny zboża w Polsce były stale niższe od cen światowych, często o 50 procent i polityka wolnego eksportu, ułatwianego przez krótkoterminowe kredyty powinna wywołać znaczne przyśpieszenie rozwoju rolnictwa. Naogół Polska jest w stanie wywozić pewną nadwyżkę produktów rolnych po cenach niższych od poziomu światowego. Eksport zwiększyłby się przez zwolnienie go od opłat wywozowych. Znaczny wzrost wywozu tych głównych polskich produktów (dla których rynki zbytu zawsze będą dostępne) powinienby być umożliwiony w najbliższej przyszłości, jako rezultat mądrej i konsekwentnej polityki rządowej".

Czy nasz rząd zastosował się do tej mądrej rady? Wręcz odwrotnie: zakaz wywozu zboża, cła eksportowe prohibicyjne z jednej strony, z drugiej zaś otworzenie granic polskich dla wwozu zboża, mąki i produktów przemysłu rolnego były wyrazem tej polityki.

Do Polski wwieziono zboża, mąki i produktów rolnych:

w 1922 r. za 15,495,000 złotych
w 1923 r. za 23,067,000 złotych
w 1924 r. za 68,169,000 złotych
w 1925 r. za 403,939,000 złotych

W grudniu 1923 r. z mównicy sejmowej wygłosił p. prezes Rady Ministrów i Minister Skarbu, że ceny na płody rolnicze są w Polsce zbyt wysokie i że będzie dążył do ich obniżenia.

Ceny te wówczas były wedle rocznika 1924 r. Głównego Urzędu Statystycznego (str. 113) następujące:

za 100 kg. pszenicy płacono w Polsce 10 zł. 37 gr.;
za 100 kg. żyta płacono w Polsce 6 złotych 66 gr.;
za 100 kg. jęczmienia płacono w Polsce 5 zł. 99 gr.;
za 100 kg. owsa płacono w Polsce 5 złotych 82 gr.

Prawie trzykrotnie są obecnie ceny wyższe na zboże, niż wówczas (przy zwaloryzowaniu obecnego złotego), a jednak rolnictwo nie pokrywa jeszcze kosztów produkcji. Wykazuje to jednak jak niesłychanie lekkomyślnie było powiedziane przez p. premjera to zdanie, że ceny ówczesne były zbyt wysokie. Co gorsza, cała polityka antyagrarna p. premjera zastosowana do tego lekkomyślnie wypowiedzianego zdania doszczętnie zrujnowała Polskę.

W artykułach w Dzienniku Poznańskim w Dniu Polskim i w Słowie Kujawskim w połowie stycznia 1924 roku drukowanych gorąco wystąpiłem przeciwko słowom premjera o dążeniu do obniżania cen produktów rolnych:

„Jest to zasada — pisałem wówczas — tak niesłychanie nieracjonalna z punktu widzenia ogólnie uznanej ekonomji politycznej i tak rażąco stojąca w sprzeczości z interesem narodu polskiego, że jest obowiązkiem obywatela Polski głos swój przeciwko powyższej zasadzie podnieść".

I dalej w tych artykułach dowodziłem, że:

„dla dojścia do dobrobytu ludności w Polsce należy zatem bezwzględnie się starać, by stopniowo ceny zboża odpowiadały cenom rynków zagranicznych i jednocześnie należy pilnie przestrzegać, żeby zarobki robotników, inteligencji, wszelkich pracowników i urzędników stopniowo i odpowiednio wzrastały i doszły co najmniej do przedwojennego poziomu".

Co prawda byłem głosem odosobnionym i ani prasa naogół, ani społeczeństwo, a tem mniej rząd nie podzielał mego zdania, które przebrzmiało, jakby to wcale Polskę nie obchodziło.

A jednak zasada utrzymania cen na wewnętrznym rynku dla podstawowych produkcji krajowych jest podstawą dobrobytu ludności i zasada ta w stosunku do produkcji rolnej jest stale stosowaną w całej nieomal Europie od końca ubiegłego stulecia.

Państwa bardziej przemysłowe i nie mające samowystarczalności zbożowej, jak Francja, Belgja, Włochy, Niemcy, Czechosłowacja mają do dziś cła wwozowe na płody rolne. — Stany Zjednoczone Ameryki wprowadziły nawet ostatnio zakaz wwozu zboża. Wszędzie się to robi w celu podniesienia cen na rynku wewnętrznym i to pomimo, że robotników fabrycznych jest we Francji 5 miljonów, w Belgji 1½ miljona, we Włoszech 3 miljony, w Niemczech 8 miljonów, w Polsce zaś mamy zaledwie około 700 tysięcy robotników fabrycznych i absolutną samowystarczalność zboża.

Konsekwentne stosowanie odwrotnej polityki w Polsce — polityki antyagrarnej, wprost zbrodniczej, gdyż samobójczo względem nawskroś rolniczego kraju prowadzonej — hamowało i obniżało produkcję zbożową, rujnowało rolników polskich, których jest 70 procent i przez to doprowadziło do niebywałej katastrofy gospodarczej całą Polskę i w końcu do załamania się naszej waluty złotej w lecie 1925.

Obecną nędzę w Polsce przewidywałem skoro w wyżej wymienionych artykułach pisałem: (w 1924)

„Nie może przeto nie być nieszczęściem dla Polski, jako państwa, skoro trzy czwarte ludności (rolniczej) poza swem utrzymaniem codziennem nie jest w stanie ani się ubrać, ani się obuć, ani jakieś ważniejsze zakupy robić na gospodarstwo, na inwestycje, na ulepszenia..."

i dalej: (styczeń 1924 r.)

„A skutki tego, że trzy czwarte ludności (rolniczej) wstrzymuje się z musu do ostatecznych granic od wszelkich zakupów są wprost opłakane dla handlu i przemysłu polskiego, gdyż wywołują zastój".

i dalej jeszcze:

„A więc jak na dłoni widzimy, że wszystkie warstwy ludności w Polsce są z obecnego stanu niezadowolone i muszą być zainteresowane w tem, by rolnictwo dawało zyski, inaczej bowiem stosunki ekonomiczne, przez wojnę zachwiane, nie wrócą do równowagi".

Rzeczą jest zrozumiałą, że ta samobójcza polityka antyagrarna spowodowała i w dalszym ciągu powoduje obniżanie się plonów rolniczych w Polsce i są one znacznie niższe od przedwojennych.

Zrujnowany rolnik, niepewny jutra, przestał stosować nawozy sztuczne i prowadzić zaczął gospodarstwo niedbale i niedołężnie, czasem rabunkowo. Wszystko się chyli ku coraz większemu upadkowi: nie robią się inwestycje, zaniedbują się ulepszenia, nie ma pieniędzy na zakup maszyn i narzędzi, na ubranie i obuwie.

Nędza i niedostatek u ludności rolniczej — czyli nędza wśród 70 procent ludności w Polsce — automatycznie wpływa na zastój w handlu i przemyśle i dobrobyt stopniowo zanika wśród ludności przemysłowej i handlowej.

Warsztaty pracy i fabryki się redukują i zamykają i bezrobocie dochodzi do 350 tysięcy ludzi.

W taki to sposób po zniknięciu dobrobytu u ludności rolniczej przyszła kolej na przemysłowców, którzy też doszli do rozpaczliwego stanu, gdyż z jednej strony prowadzić bez straty przedsiębiorstwa nie sposób, a zamknięcie jego narazi właściciela na niechybne bankructwo.

Oczywiście, że handel nie w lepszem jest położeniu. Katastrofa ekonomiczna na całej linji i katastrofa niechybna dla skarbu polskiego.

Jest to położenie rozpaczliwe, a jednak nie beznadziejne.

Należy tylko zejść z fałszywej drogi polityki antyrolniczej i całą siłą i uczciwie i konsekwentnie zastosować politykę popierania produkcji i wywozu zboża i drzewa z Polski. Przypatrzmy się tylko cyfrom:

Z urodzaju 1925 mieliśmy ponad konsumcję roczną zbywającego zboża:

pszenicy	180,600 ton
żyta	2,817,351 ton
owsa	825,533 ton
jęczmienia	591,809 ton

Rachując po cenach poznańskich z dnia 28.4. 1926 przedstawia ta nadwyżka urodzaju wartość 1,392,606,740 złotych:

Przy popieraniu rolnictwa produkcja zbożowa przez stosowanie nawozów sztucznych z łatwością podniesie się o 50 a nawet 75 procent, a wartość zboża eksportowego może być podwojona, osiągając sumę złotych 2,800,000,000.

Jeżeli do tego dodamy wywóz mięsa, trzody chlewnej, krochmalu i cukru to dojdziemy conajmniej do 3-ch miljardów.

Z eksportu drzewa i wyrobów przemysłu drzewnego mieliśmy w 1925 roku tylko 241 miljonów. Przy popieraniu tego wywozu musielibyśmy z łatwością osiągnąć 1 miljard złotych (ze 113,000 ha. rocznych cięć), co łącznie z wyżej wymienionemi trzema miljardami dałoby — 4 miljardy, które rok rocznie musiałyby wpływać z zagranicy do Polski (mamy zaledwie 800 miljonów złotych w obiegu).

Co za szybki przewrót w stanie dobrobytu Polski wytworzyłaby taka polityka agrarno-drzewno-eksportowa!

Przez dobrobyt w rolnictwie zapanowałby dobrobyt w przemyśle i handlu i po paru latach konsekwentnego stosowania takiej polityki ekonomicznej rozkwit Polski byłby nadzwyczajny.

Wierzę niewzruszenie, że do tego wreszcie przyjść musi!

Wyznaję szczerze, że widzę w tem palec Opatrzności Bożej, że dotąd tej polityki nie stosowały rządy polskie.

Wydaje się to paradoksem.

Otóż jestem pewny, że jeśliby od 1921 r. polityka agrarno-drzewno-eksportowa była konsekwentnie stosowaną, to dobrobyt, któryby niezawodnie zapanował w Polsce, pozwalałby naszym rządom naznaczać i ściągać coraz to większe daniny i podatki; życie nasze państwowe rozrastałoby się jeszcze bardziej, niż obecnie i budżet mógłby dojść do trzech lub czterech miljardów. Wszak na szafowanie grosza publicznego granic nie ma!

Tymczasem Polska bankrutuje na całej linji już przy budżecie obecnym 1500 do 1700 miljonów złotych.

Nastąpić musi obecnie operacja sanacyjno-oszczędnościowa, życie państwowe z konieczności musi być wtłoczone w ramki budżetu 1500 miljonów, gdyż obecnie na więcej bezwarunkowo Polskę nie stać, i gdy następnie polityka agrarno-drzewno-eksportowa ocali Polskę i szybko ją zbogaci, będzie to już po radykalnem naszem — mam nadzieję — wyleczeniu z megalomanji, nieuczciwości w urzędach i z systematycznej rozrzutności w szafowaniu groszem publicznym.

K. Niezabytowski.

ZAGADNIENIE CZASU PRACY

Nowa ustawa angielska.

W ubiegłym tygodniu parlament angielski przyjął ostatecznie „bill" o fakultatywnym ośmiogodzinnym dniu pracy w kopalniach węgla, t. zn. o przedłużeniu dnia pracy w tym przemyśle za wspólną zgodą pracodawców i pracobiorców o jedną godzinę.

Teoretycy, skrajni wyznawcy reglementacji czasu pracy, zapewne dopatrzą się w tem porażki górników, którzy od trzech miesięcy strejkowali, nie chcąc się zgodzić ani na obniżkę płac, ani na podwyższenie godzin pracy, jedyne środki, które uchronić mogą z deficytem pracujące kopalnie angielskie od finansowej zagłady. Istotnie uchwalenie billu o ośmiogodzinnym dniu pracy oznacza klęskę dla Labour Party wzgl. jej przywódców, którzy nie przemyśleli do końca możliwych skutków strejku, nie biorąc w rachubę zmienionych stosunków ekonomicznych oraz nastroje społeczeństwa angielskiego.

(W ostatniej chwili nadeszła wiadomość, że ogólne zebranie Związku Kolejarzy, wbrew życzeniu strejkujących górników, przygniatającą większością wyraziło swą zgodę na decyzję Zarządu Związku Kolejarzy niepodejmowania żadnych kroków, któreby przeszkadzały transportowi węgla.)

Inną kwestją jest, czy ta formalna przegrana przywódców praktycznie nie będzie dla robotników niejako przecięciem węzła gordyjskiego, który krępował i ugniatał chętnych do pracy a uświadamiających sobie, że są chwile, w których i robotnik, jeżeli nie chce utracić warsztatu pracy, musi zgodzić się na ustępstwa dla ochrony — kapitału. Kto zna Anglików i ich ideologję, nie przejmie się zbytnio pogróżką leaderów związków zawodowych, że górnicy siłą będą przeszkadzać zgłaszającym się do pracy, ani też faktem, że po zniesieniu lockoutu przez kopalnie, w pierwszym dniu zaledwie jeden procent górników zgłosił się do pracy. Na siłę odpowie rząd wielkobrytyjski — według oficjalnej deklaracji w parlamencie — całą swą siłą zbrojną, a resztę przezwycięży „common sense" i zdrowy egoizm John Bulla.

Jeżeli uzdrowienie przemysłu węglowego w Anglji wymaga podwyższenia czasu pracy o jedną godzinę, co dopiero mówić o przemyśle w innych państwach, mniej przygotowanych do walki konkurencyjnej na rynkach światowych. To też rządy dalekowzroczne i dbające o wzmocnienie przemysłu rodzimego, zdając sobie sprawę z ważności tej kwestji, albo wcale nie ratyfikowały konwencyj waszyngtońskich, albo tylko te z nich, które odpowiadają potrzebom danego państwa. Zachowując zasadę ośmiogodzinnego dnia pracy i 48-godzinnej tygodniowej pracy, niektóre ustawodawstwa, jak belgijskie i szwajcarskie przewidują w licznych wypadkach możliwość przedłużenia pracy. Szwecja zajęła stanowisko podobne do tego, którego wyrazem jest wspomniana na wstępie ustawa, uchwalona ostatnio przez parlament angielski, upoważniając Radę Pracy do udzielania zezwoleń na przedłużenie czasu pracy, „gdy zgadza się na to większość zainteresowanych pracowników, a przedłużenie nie jest nierozsądne". Jest to t. zw. „voluntary system", propagowany przez przemysł angielski, a który jest stanowczo najzdrowszą zasadą regulowania czasu pracy. Albowiem każda konstrukcja, choćby niedoskonała, pozostawiająca przy umowie o pracę swobodę samostanowienia pracującym, jest więcej wartą od najdoskonalszej i najbardziej ludzkiej reglementacji. Konstrukcja samostanowienia „daje możność rozwoju, jest więc żywą, podczas gdy reglementacja pozostaje tem, czem jest, martwą" (Mommsen).

Już z początkiem tego roku, po konferencji londyńskiej okazało się, że rzekomo osiągnięte porozumienie w sprawie konwencyj waszyngtońskich jest iluzoryczne, ponieważ kilka ważnych państw nie było reprezentowanych. Bo tylko wtedy może być porozumienie zupełne i skuteczne, jeżeli nastąpi zgoda wszystkich zainteresowanych stron. Wskaźnikiem wielu trudności, na które cały problem natrafia, jest między innemi fakt, że w Stanach Zjednoczonych pomiędzy poszczególnymi Stanami istnieją różnice co do godzin pracy.

Taktyka angielska jest stanowczo znacznym postępem w kierunku osiągnięcia zupełnego porozumienia. Albowiem dobrowolna umowa między pracodawcą a pracobiorcą dopuszcza pewną e l a s t y c z n o ś ć, konieczną, jeżeli przemysł ma pracować bez tarć, straty czasu i kapitału. I w tem tkwi sedno rzeczy. Praktycznie nie istnieje normalny dzień roboczy, jak niema normalnej pracy i normalnego robotnika. W żadnym wypadku gospodarstwo światowe obecnie nie może sobie pozwolić na kulturalny zbytek nieprzekraczalnego ośmiogodzinnego dnia pracy. Dlatego najlepszym planem byłoby, aby wszystkie państwa w jak najszerszym zakresie rozwinęły system dobrowolnego, umownego regulowania godzin pracy, a skoro na tej podstawie osiągnięty zostanie w przybliżeniu jednolity rezultat, wtedy dojście do międzynarodowego porozumienia, — o ile w tym stanie rzeczy jeszcze będzie uważane za potrzebne — nie natrafi na tak znaczne trudności i wspólne uchwały będą łatwe do wykonania.

Może i u nas rząd Rzeczypospolitej, rząd sanacji ekonomicznej i moralnej zastanowi się nad tym problemem?

Dr. M. S.

Płace w polskim przemyśle włókienniczym

ZESTAWIENIE DZIENNYCH PŁAC TYPOWYCH ROBOTNIKÓW POSZCZEGÓLNYCH DZIAŁÓW FABRYK PRZEMYSŁU WŁÓKIENNICZEGO W OKRESIE OD 1-go LIPCA 1926 ROKU.

	Dzienna płaca zasadnicza Zł.
1. Robotnik podwórzowy	3.27,7
2. Ślusarz przy podrzędnych robotach	6.77,6—7.26,0
3. Palacze kotłowi obsług. 1—2 kotły	5.28,4—6.28,3
4. Monter-ślusarz	8.91,3—10.76,9
PRZĘDZALNIA BAWEŁNIANA:	
1. Przędzarz średnio	6.91,3
2. Prządka	4.12,4
3. Zamiataczka	2.79,7
PRZĘDZALNIA WEŁNIANA:	
1. Sortownik	6.40,8
2. Śrubownik	6.57,4
3. Przędzarz	8.15,6
TKALNIA BAWEŁNIANA:	
1. Tkacz na krośnie gładk. szer. do	4.28,7
2. Tkacz na krośnie żakard. szer. do 84"	6.40,8
TKALNIA WEŁNIANA:	
1. Tkacz na kortowym krośnie	5.76,0
2. Tkacz na angielskim krośnie	5.79,9
TKALNIA JEDWABIU:	
1. Tkacze na gładk. krośnie do 36"	5.13,9
2. Tkacze na żakard. krośnie do 36"	5.60,1
WYKOŃCZALNIA:	
1. Gotowanie towarów w kotle	5.33,9
2. Robotnik przy 2 wąskich dzigierach	4.53,7
3. Robotnik przy foluszu	5.47,9

SZKOLNICTWO POWSZECHNE W POLSCE

Ile kosztuje i jak wygląda?

I.

Szkolnictwo powszechne w Polsce, to główna przyczyna obciążenia naszego budżetu wogóle, a specjalnie budżetu oświatowego. W roku 1925 z kwoty 323 miljonów budżetu oświatowego, wydano przeszło 197 miljonów na szkolnictwo powszechne, na rok 1926 suma preliminowana na ten sam cel wynosi prawie tyle, wobec tylko 315 miljonów budżetu oświatowego. Suma ta obejmuje wydatki na 264 inspektoraty i ich kancelarje, na kształcenie nauczycieli w seminarjach i na kursach, na oświatę pozaszkolną, ale olbrzymią większość tej kwoty, bo przeszło 176 miljonów pochłania szkolnictwo powszechne ze szkołami specjalnemi i ochronkami, łącznie z budową szkół. Na głowę wynosi to 11 złotych rocznie podatku, jeśli chodzi o budżet ogólny Ministerstwa Wyzn. Rel. i Ośw. Publ., a z tego 7 złotych na samo tylko szkolnictwo powszechne.

Do tych kwot dodać jeszcze należy wydatki, jakie na cele szkolnictwa powszechnego ponoszą samorządy. Nic więc dziwnego, że te olbrzymie sumy w chwili sanacji przedewszystkiem zwróciły na siebie uwagę.

Ustawa sanacyjna z grudnia 1925 roku dotknęła przedewszystkiem nauczycielstwo, wprowadzając zmiany nietylko w uposażeniu, ale i w warunkach pracy (np. podniesienie liczby dzieci, przypadających na nauczyciela), co wywołało zrozumiały odruch obrony i protestu w szerokich rzeszach nauczycielskich, broniących nietylko swoich zawodowych interesów, ale występujących zasadniczo w obronie zagrożonego jeśli nie w swem istnieniu, to przynajmniej w swym rozwoju szkolnictwa powszechnego. Wobec tego może nie od rzeczy będzie zaznajomić się bliżej ze stanem szkolnictwa powszechnego w Polsce, aby wysnuć z tego pewne wnioski.

Jak się w szkolnictwie powszechnem przedstawia stan faktyczny? Pojęcie o tem wyrobić sobie możemy z następującego zestawienia, dotyczącego liczby szkół i nauczycieli.

	Liczba szkół wynosiła:	Liczba nauczycieli:
w r. 1921/2	— 27,414	57,158
1922/3	— 27,384	60,503
1923/4	— 27,458	63,826
1924	— 29,765	60,626
1925	— 26,715	61,411
1926	— 26,855	61,411

Cyfry te dowodzą, że liczba szkół do roku 1924 włącznie znacznie wzrastała, od tego zaś czasu spadła o prawie trzy tysiące szkół. To samo zjawisko wykazuje liczba nauczycieli, która po osiągnięciu w r. 1923/4 liczby 63,826 nagle spada do 60,626 i z niewielką różnicą na tym poziomie się utrzymuje. Wniosek z tego prosty, że szkolnictwo powszechne w pewnym momencie nietylko zatrzymało się, ale cofnęło się w swoim rozwoju pod względem ilościowym.

Stan ten napozór tak niepomyślny oświetlą nieco inne cyfry, dotyczące liczby dzieci 1) w wieku szkolnym, 2) uczęszczających i 3) nie uczęszczających do szkoły. Cyfry te w poszczególnych latach przedstawiają się następująco:

rok	w w. szk.:	do szk. ucz.:	nie uczęszczało:
1921/2	5,200,000	3,197,008	2,002,992
1922/3	5,012,920	3,208,352	1,804,568
1923/4	4,569,784	3,260,376	1,309,408
1924/5	4,243,827	3,234,233	1,109,594

Jeśli w rubryce 1 i 2 stan w roku 1921/2 przyjmiemy za 100%, to przekonamy się, że liczba dzieci w wieku szkolnym stale się zmniejsza, wynosi bowiem w stosunku do roku 1921/2 = 100%

w r. 1922/3 — 96,4%
1923/4 — 87,8%
1924/5 — 81,6%

w roku zaś 1925/6, kiedy liczba dzieci spadnie do 3,798,872 obniży się do 73%.

W tym samym czasie liczba dzieci, uczęszczających do szkoły, wzrasta i wynosi:

w r. 1921/2 — 100%
1922/3 — 100,35%
1923/4 — 101,98%
1924/5 — 101,16%

Rok zatem 1924/5 wykazał pewną zniżkę.

Z zestawień, dotyczących dzieci, wynika, że wogóle maleje liczba dzieci w wieku szkolnym. Proces ten, jako skutek zmniejszonej liczby urodzeń w latach wojny, trwać będzie aż do roku 1929/30, w którym liczba dzieci w wieku szkolnym zacznie zwolna wzrastać. Otóż, jak dowodzą cyfry, szkolnictwo powszechne moment ten postanowiło wyzyskać i korzystając ze zmniejszonej liczby dzieci, przygotować warunki do wprowadzenia powszechnego obowiązku szkolnego, wskutek czego nietylko szło z tym procesem równolegle, ale znacznie go wyprzedziło, zmniejszając liczbę dzieci, nie uczęszczających do szkół, z 38,5% do 26,1%, czyli, że w roku szk. 1924/5 już tylko jedna czwarta dzieci w Polsce nie uczęszcza do szkoły powszechnej. Cyfra ta okaże się jeszcze mniejszą, kiedy się uwzględni jeszcze dzieci, uczące się w domu, a nadto uczęszczające do klas wstępnych przy szkołach średnich (w roku szk. 1923/4 — 8414) i klas I—III szkół średnich.

W każdym jednak razie pamiętać należy, że liczba dzieci pozbawionych szkoły, znacznie jeszcze przekracza miljon dzieci, że zatem do realizacji powszechnego obowiązku szkolnego jeszcze bardzo daleko.

Jak zatem widzimy, pomimo wstrzymania liczby szkół i liczby nauczycieli, szkolnictwo powszechne rozwija się, powiększając z roku na rok ogromnie wydatnie liczbę dzieci. Wstrzymanie jednak rozrostu liczby szkół i liczby nauczycieli zmusza nas raczej do wniosku negatywnego.

Szukajmy jednak przedewszystkiem stron dodatnich, aby zdać sobie sprawę z tego, co u nas na tem polu zrobiono.

Otóż momentem dodatnim będzie stałe podnoszenie się stopnia organizacyjnego szkół powszechnych, jak świadczy następujące zestawienie. Było szkół:

	w r. 1924	w r. 1925	w r. 1926
1-klasowych	16,814	15,915	14,709
2-klasowych	7130	5690	5967
3-klasowych	1715	1372	1977
4-klasowych	1548	1127	1231
5-klasowych	678	539	616
6-klasowych	605	471	412
7-klasowych	1169	1527	1869

Prócz tych szkół na terenie okręgu szkolnego poznańskiego i pomorskiego istnieją 3—6 klasowe szkoły wydziałowe, ogółem 59, a na terenie okręgu krakowskiego 15 szkół ośmio i dziewięcioklasowych.

Z zestawienia tego wynika jasno, że pod względem stopnia organizacyjnego szkolnictwo powszechne wznosi się coraz wyżej, czego najlepszym dowodem, że w ciągu dwu lat ubyło 2105 szkół jednoklasowych, przybyło natomiast 700 szkół siedmioklasowych. To największe różnice. Inne szkoły wykazują też rozwój, a choć niektóre cyfry wykazują zniżkę, to jednak łatwo zrozumieć, że cyfry te są też wynikiem podniesienia się stopnia organizacyjnego i znajdują pokrycie w wyższym stopniu organizacyjnym.

Gdybyśmy liczby szkół pomnożyli przez stopień organizacyjny, to byśmy się przekonali, że liczba oddziałów w szkołach wszystkich stopni organizacyjnych wynosiła:

w roku 1924	58,356
w roku 1925	52,571
w roku 1926	56,575

Po pewnym zatem załamaniu się w roku 1925 następuje ogromna zwyżka, z przewagą jednak coraz większą szkół siedmioklasowych, w których liczba oddziałów wzrosła z 8183 na 13,083, czyli z 14% na 23% ogółu oddziałów. Ponieważ zaś wzrost szkół siedmioklasowych zmienia i podnosi wartość udzielanej nauki, możemy stwierdzić, że szkolnictwo powszechne rozwinęło się również pod względem jakościowym.

Jak się jednak przedstawiają warunki pracy nauczyciela? Określić je można częściowo na podstawie liczby nauczycieli, przypadających na jedną szkołę i liczby uczniów, przypadających na jednego nauczyciela.

Otóż wypadło w r. 1921/2 na jedną szkołę 2 nauczycieli, a w r. 1926 — 2,3, czyli stan się poprawił, co umożliwiło właśnie podniesienie poziomu organizacyjnego szkół. Również poprawił się stosunek dzieci, przypadających na 1 nauczyciela. Kiedy w r. 1921/2 przypadało na 1 nauczyciela przeciętnie 56 dzieci, to w roku 1926 liczba dzieci powinna była wynosić 52. Poprawa ta jest też ściśle związana z podniesienim się poziomu organizacyjnego szkół, który wymaga bezwarunkowo lepszych warunków pracy i przy przepełnionych oddziałach odpowiednich wyników osiągnąć nie pozwala.

O tempie, w jakiem wzrastało szkolnictwo powszechne zaświadczyć może przykład, wzięty ze stosunków, panujących w województwach centralnych, dla których M. Falski opracował sieć szkolną i podał w roku 1921 przypuszczalne dane rozrostu. Otóż w projekcie swoim przewidywał on na rok szkolny 1926/7 — na terenie pięciu województw — 23,156 nauczycieli, gdy tymczasem preliminarz budżetowy przewiduje na ten rok 27,270 nauczycieli. To jest najlepszym dowodem tego żywiołowego pędu, jaki ogarnął i władze szkolne i społeczeństwo w dziedzinie szkolnictwa powszechnego.

Najlepiej jednak gorliwość społeczeństwa wykażą wyniki w dziedzinie budowy szkół, które w jednem z pism zawodowych przedstawił naczelnik Wydziału Organizacyjnego Ministerstwa, Dr. S. Tyrzelski. Według tych danych w czasie od 1922—1925 r. zbudowano, odbudowano lub przebudowano względnie buduje się 806 szkół o 2920 izbach szkolnych przy pomocy funduszów państwowych, a 886 szkół o 1878 izbach tylko z funduszów gminnych, czyli razem 1692 budynków o 4798 izbach szkolnych. Budynki subwencjonowane przez państwo są przeważnie murowane, budowane samodzielnie przez gminy w większości drewniane. Ponadto podkreślić należy, że udział państwa najsilniej uwydatnia się w województwach południowo-wschodnich, gdzie na 806 szkół subwencjonowanych przez skarb państ., buduje się aż 350 szkół, kiedy znów województwa centralne wykazują najżywszą inicjatywę samorządową. Najwybitniej występują tu woj. lubelskie, kieleckie i warszawskie, które o własnych siłach wznoszą 357 szkół i to przeważnie po wsiach. Dość zaznaczyć, że np. sejmik częstochowski buduje 37 szkół w ciągu dwu lat, siedlecki 10, włodawski 7 i to szkół przeważnie wyżej zorganizowanych.

Tak się w ogólnych zarysach przedstawia stan szkolnictwa powszechnego w Polsce i jego poważny dorobek. Jak zaś wygląda przyszłość tego szkolnictwa, zobaczymy w następnym artykule.

Nik.

Tyranja mody

Mówiąc o „tyranji mody", mieliśmy dotychczas na myśli oprócz względów natury estetycznej, despotyczne ataki tej władczyni na kieszenie ojców, małżonków, oraz innych naturalnych i przysposobionych płatników strojów kobiecych. Nagle dochodzi nas wprost nieprawdopodobna wieść, że tyranka moda, może pod wpływem ogólnej depresji gospodarczej, zadekretowała system oszczędnościowy. Bo inaczej nie można zrozumieć popartych cyframi narzekań niemieckiego przemysłu włókienniczego, który główną przyczynę bezrobocia w licznych przędzalniach, tkalniach i ich zakładach pomocniczych przypisuje panującej modzie wąskich i krótkich sukien damskich. Zmniejszoną konsumcję materjałów obliczają na miljony metrów, a zmniejszone wpływy na 170 miljonów złotych marek.

W artykule, opublikowanym w „Berliner Tageblatt", dochodzi p. Emil Neumann na podstawie statystyki obrotowej w przemyśle damskiej konfekcji do następujących wyników.

W konfekcji płaszczy damskich wynosił ogólny obrót w roku 1925 320 miljonów marek. Przyjmując przeciętną cenę płaszcza na 25 marek, otrzymamy 13 miljonów sztuk. Z tego należy potrącić jeden miljon zwykłych płaszczy kobiecych, które nie są skrojone według krótkiej modnej formy. Na resztę 12 miljonów zużywa się o 30 centymetrów na sztuce mniej, w przeciwieństwie do dawniejszej mody szerokich i długich płaszczów. Z tego powstaje ubytek 3,6 miljonów metrów. Wartość tej niespotrzebowanej ilości towaru wynosi przeto, przy cenie przeciętnej 5 marek za metr, przynajmniej 18 miljonów marek. O tyle tkalnie wełny zmuszone były zmniejszyć swoją produkcję materjałów na płaszcze damskie.

Niemniej przyczynia się do spadku konsumcji materjałów moda, ograniczająca zużycie materjału na suknie damskie. I tak, wystarcza na modne suknie bez rękawów przynajmniej o jeden metr mniejsza ilość materjału. Nisko ceniąc, ilość takich sukien wynosi 40 miljonów, z których jedna trzecia sporządzona jest z wełnianych lub półwełnianych materjałów. Wskutek zmiany mody więc, tracą tkalnie wełny produkcję około 13 miljonów metrów, wartości mniej więcej 50 miljonów marek. Niemniejsza część konfekcjonowanych sukien wykonana jest z materjałów bawełnianych, przy których zmniejszone zapotrzebowanie materjału również wynosi 13 miljonów metrów, wartości 13 miljonów marek. Pozostałe suknie damskie zrobione są z jedwabiu naturalnego i sztucznego oraz aksamitu. Dla tych moda przepisuje dalsze ograniczenia, dyktując nietylko wycięcie z przodu, ale także głębokie wycięcie z tyłu, co pociąga za sobą zmniejszone zapotrzebowanie o 1,5 metra na sukni wieczorowej. Licząc po 4 marki za metr, otrzymamy 78 miljonów marek ubytku w dochodach przemysłu aksamitnego i jedwabnego.

Suma więc strat, których doznała produkcja tkalń materjałów damskich, spowodowana przez modę, wynosi za rok 1925 okrągło 170 miljonów marek.

Ale i tkalnie jedwabiu wiele straciły wskutek zmiany mody lub gustu. I tak w większej części kapeluszy męskich brak używanej dawniej ogólnie podszewki jedwabnej.

Jeżeli fabryki zwykłej bielizny damskiej również uskarżają się na słabo idący interes, to i w tym wypadku moda smukłej linji jest odpowiedzialną. Płeć piękna dla linji tej ogranicza zapotrzebowanie bielizny do ostatecznych granic. Wszystkie zbyteczne części jak halki, staniczki i t. d. padły ofiarą przepisów mody.

Listę przedmiotów zbędnych, względnie w zastosowaniu bardzo ograniczonych wskutek dyktatu mody, uzupełniają fartuszki damskie, woalki, sztuczne kwiaty, wstążki, koronki, hafty i t. d.

Bez wątpienia i nadzwyczajny rozwój automobilizmu, który spowodował stopniowy zanik pojazdów konnych, wpłynął ujemnie na fabrykację kocy dla koni. Ubytek w tej dziedzinie wynosi miljony sztuk. Przemysł automobilowy nie daje możności powetowania tej straty, gdyż na obicia karoserji zużywa przeważnie skórę wytrzymałą na wpływy atmosferyczne.

Jeżeli więc już wskutek osłabionej siły nabywczej szerokiego ogółu ludności, zużycie tekstyljów znacznie się zmniejszyło, to panująca moda pod tym względem jeszcze więcej zawiniła. A wobec faktu, że moda przeważnie pojawia się nagle i niemożliwem jest wpłynąć na jej tendencje, przemysł nie ma żadnych środków, aby odwrócić krytyczne następstwa przepisów mody.

(X.)

BANK DOLAROWY

W urzędowem wydawnictwie „Przemysł i Handel" w numerze 28-ym z dnia 10 lipca r. b. znajdujemy następującą notatkę:

„Rada Banku Polskiego na ostatniem walnem posiedzeniu, odbytem w dniu 8 b. m., powzięła uchwałę powołania do życia nowej instytucji bankowej p. n. „Bank Dolarowy w Polsce", Sp. Akc. Ma to być odrębna od Banku Polskiego instytucja, w której jednak gospodarzem faktycznym będzie Bank Polski, pozostawiając w swojem ręku portfel akcyj nowej spółki. Bank Dolarowy mieścić się będzie w lokalu Banku Polskiego i będzie obsługiwany przez urzędników tegoż.

Zadaniem nowego Banku będzie mobilizowanie i produkcyjne zużytkowanie tezauryzowanych w kraju zapasów złota i walut".

Nie znamy na razie bliższych szczegółów organizacyjnych tej nowej instytucji ani planów jej działalności — przypuszczamy, że ma to być naśladownictwo niemieckiego „Golddisconto - Banku", zorganizowanego również przez niemiecki bank biletowy w celu ułatwienia przemysłowi korzystania z kredytów zagranicznych i w zagranicznej walucie. Tam jednak „Golddisconto-Bank" powstał przy udziale kapitałów zagranicznych i miał zapewnione obfite kredyty w bankach zagranicznych — tutaj zaś Bank Polski sam zamierza sfinansować to nowe przedsiębiorstwo.

Środków na ten cel w Banku Polskim nie widzimy — impreza ograniczy się przeto najprawdopodobniej tylko do otwarcia wydziału dolarowego w Banku Polskim dla przyjmowania wkładów dolarowych od publiczności.

Po otrzymaniu bliższych szczegółów nie omieszkamy powrócić do tej sprawy.

SYMFONJA KOLORÓW

Amerykanin, Tomasz Wilfred, urządził rodzaj pianina, gdzie, za dotknięciem klawisza, nie słyszy się dźwięku, natomiast ukazuje się światło, odpowiadające tonowi, według całej skali chromatycznej.

Na koncercie „wyświetlił" w ten sposób całą symfonję Rimskiego Korsakowa, p. t. Szeherezada.

Podobno wrażenie, otrzymane zapomocą tego Clavilux'u, tak bowiem wynalazca nazwał swe pianino, było bardzo uroczne. Chwilami zdawało się, że rzeczywiście jakieś nadziemskie istoty tańczą w powietrzu taniec tajemniczy.

Rynek pieniężny i giełda

Obniżenie stopy dyskontowej przez Bank Polski i zniżenie stawek po stronie aktywnej i pasywnej przez banki rządowe, o czem pisaliśmy w numerze z 4 lipca — zmusiło wszystkie banki prywatne do redukcji dotychczas pobieranych i płaconych odsetek.

Od kilku dni płacą prywatne instytucje pieniężne za złotowe wkłady związane 10—15 procent, za wkłady avista (rachunki czekowe) 6—8 procent, za pierwszą kategorję ale w walucie obcej 6—10 procent, za drugą 4—6 procent. Za dyskonto weksli pobierają banki 18 procent w stosunku rocznym.

Zniżka stopy procentowej przyniosła pewną ulgę dla produkcji — nie oznacza to jednak, że wobec zmienionych warunków nastąpiła jakakolwiek podaż gotówki na rynku.

Rynek nasz bowiem w dalszym ciągu jest zupełnie niepłynny, brak środków obrotowych wyziera z każdego kąta i hamuje każde poważniejsze zamierzenie. Dyskonto prywatne jest nadal utrudnione, a stopa prywatna wysoka — gdyż wynosi dzisiaj jeszcze nawet przy solidnym materjale wekslowym 3—4 procent w stosunku miesięcznym, a mniej pewnych weksli obecnie żaden prywatny dyskonter nie przyjmuje.

Brak zaufania do dłużników i ryzyko jest dzisiaj większe, niż kiedykolwiek.

Pomoc kredytowa Banku Polskiego była dotychczas stosunkowo mało wydatna — pomoc banków prywatnych bardzo mała. Zresztą, prywatne instytucje bankowe operują (z pewnymi wyjątkami) głównie kredytem udzielonym im przez naczelną instytucję, nie angażując od czasu pamiętnego runu z lipca i sierpnia ub. roku swoich własnych kapitałów.

Kapitał obcy nie zmienił jeszcze ciągle wobec Polski swego wyczekującego stanowiska. Z kredytów zagranicznych korzystają tylko głównie solidne przedwojenne przedsiębiorstwa przemysłowe, mające od wielu lat stały kontakt z obcemi sferami finansowemi.

Przed kilku tygodniami zaofiarowała amerykańska firma Ullen and Comp. nowy kredyt na cele inwestycyjne miast prowincjonalnych w kwocie 6 miljonów dolarów.

Ponieważ warunki pożyczki są niezbyt korzystne, gdyż oprocentowanie wynosi 8 procent rocznie przy kursie emisyjnym 86 za 100, pozatem zaś 15 procent tytułem prowizji na pokrycie kosztów firmy Ullen and Comp. (sporządzenie planów, kierownictwo robót, druk obligacji etc.) — przeto do dnia dzisiejszego zgłosiły miasta zapotrzebowanie tylko na 2,700,000 dolarów. Pozostała suma ma być podobno użyta na budowę elewatorów zbożowych.

* * *

Sytuacja w okresie sprawozdawczym znacznie się poprawiła. Ustały większe wahania kursów, uspokoiła się spekulacja. Bank Polski utrzymał na giełdzie oficjalnej dolary na poziomie 9.15, dewizy na New-Jork na 9.20. Czy kurs ten jest już ostateczny trudno dzisiaj powiedzieć — zwłaszcza, że niektóre sfery dobrze poinformowane zapewniają, jakoby rząd zamierzał obniżyć jeszcze kurs dolara. O większej zwyżce walut zagranicznych obecnie nie ma mowy, chyba, żeby leżała ona w intencji czynników oficjalnych.

Bilans handlowy Polski jest bowiem wciąż mocno aktywny — co należy przypisać minimalnemu importowi, przy zwiększającym się z dnia na dzień eksporcie.

Bilans handlowy na czerwiec da według tymczasowych obliczeń dalszych 80 miljonów złotych nadwyżki wywozu nad przywozem.

Dobry bilans handlowy wpływa wybitnie na aktywność bilansu płatniczego. Ostatnie wielkie wpływy walut i dewiz, które za kilka dni wykaże nam bilans Banku Polskiego za I-szą dekadę lipca, pozwolą instytucji emisyjnej uregulować wielką część krótkoterminowych zobowiązań zagranicznych i powiększyć obieg banknotów.

Obrót dzienny na giełdzie dewiz wynosił w tygodniu ubiegłym 200 — 250 — 350 tysięcy dolarów. Zapotrzebowanie pokrywał tylko Bank Polski, ponieważ banki prywatne kierując się wyższym kursem w obrotach pozagiełdowych, nie chciały narażać się na straty.

Z dewiz europejskich obniżyła się przejściowo bardzo poważnie Belgja (prawie 3 zł. na 100 frankach), która jednak odzyskała w środku tygodnia część strat, wzmocniły się natomiast Włochy.

W prywatnych operacjach walutowych panował początkowo zupełny zastój. W środku tygodnia dopiero obroty pod wpływem większego popytu w niektórych miastach prowincjonalnych — nieco się ożywiły. Dolary notowano w ubiegły piątek 9.29 — 9.30 — 9.33, od soboty zaś do wtorku wahały się one w granicach 9.26 — 9.25 — 9.28 — 9.29. We wtorek płacono za dolary 9.30 — 9.31 i pół, w środę 9.35 i pół — 9.30 — 9.29 — 9.27.

Za ruble złote płacono ostatnio 4.84, co przy parytecie 52.25 odpowiada stosunkowi 9.27 za 1 dol.

Złoty wykazywał na wszystkich giełdach tendencję utrzymaną, w Zurychu nawet lekko wzmocnioną. — Dopiero w środę osłabł nieco na giełdzie gdańskiej i berlińskiej.

Od czasu spadku dolara i znacznej poprawy naszego eksportu, trwa na giełdzie warszawskiej znaczna, jak na obecne czasy haussa na akcje i niektóre papiery procentowe, która w rezultacie przyniosła im kilkunasto a w wielu wypadkach nawet kilkudziesięcioprocentowe zyski kursowe.

Na zebraniach ubiegłego tygodnia uwydatnił się brak materjału, ponieważ posiadacze papierów, spodziewając się dalszej zwyżki, wstrzymywali się od sprzedaży.

Najbardziej popularnemi akcjami na giełdzie są obecnie Bank Polski, który osiągnął przejściowo dawno już nienotowany kurs ponad 70 oraz akcje węglowe, Ostrowieckie i Starachowice.

Awil.

Mglisty przybysz

Wychodząca w Krakowie „Gazeta Literacka" w numerze z dnia 15 lipca zamieszcza pod tym tytułem artykuł wstępny, w którym omawia widoczne już dzisiaj gołem okiem zjawisko powrotnej fali mistycyzmu religijnego i wypowiada pogląd, że literatura powinna liczyć się z tem zjawiskiem i „wyjść poza światopogląd bakcyli, które obsiadły jeden zastygający żużel, poza światopogląd mrówki, dla której wszystko się kończy w pobliżu mrowiska, poza maszynową poezję, zasklepiającą się w świecie mechanizmów, skonstruowanych ręką człowieka... a uświadomić sobie przynależność do całości w nieco dostojniejszem znaczeniu... przynależność do systemu słonecznego, obywatelstwo Drogi Mlecznej, synostwo otchłani, z której się wyszło i do której się kiedyś powróci..."

„...Bo „treścią drzewa jest szum, mieszkający w jego gałęziach, a wygrywany wiatrami, wiejącemi z niewiadomej przestrzeni, i — kto wie? — ocierającemi się może o stopy Boga!" Tak. To jest treść właściwa tego wspaniale rozgałęzionego drzewa epoki nam współczesnej, miotanego ustawicznemi wichrami, i tę treść poeci, jako organizatorzy duszy zbiorowej, powinni rozumieć i odczuwać. A nie zrozumieją jej i nie odczują nigdy, jeżeli nie będą patrzeć na chaos zjawisk i na potok zdarzeń przez soczewkę syntezy. Każda synteza ociera się o zagadkę, a gdzie stajemy w obliczu nieprzeniknionych zagadek, tam jest z pewnością wszechświat i nieskończoność — i Bóg.

Dlatego to tylu poetów i tylu filozofów zapowiada nam dzisiaj zwrot ludzkości ku czarnej zasłonie Izydy. Dlatego to idzie ku nam nieuchronna fala religijnego mistycyzmu, tego nowego średniowiecza, o tyle różnego od swego poprzednika, o ile ludzkość postąpiła od tego czasu naprzód w skonstruowaniu aparatury wiedzy nowoczesnej. Ta bowiem wyolbrzymiła nam wszechświat i rozszerzyła otchłanie, a temsamem pogłębiła tajemnicę. Nie będzie to więc mistycyzm naiwnego dziecka, jeno dojrzałego człowieka.

Kto śledził bacznie twórczość ostatniego dziesięciolecia, przypomni sobie bez trudu, że u poetów ten zwrot ku metafizyce rozpoczął się nie od rzetelnego wpatrzenia się w tajemnicę, lecz od czegoś nieokreślonego a nieuświadomionego, co kazało futurystycznym pajacom powtarzać słowo: Bóg w każdym niemal wierszu. Ale dziś słowo to przestało być pustym dźwiękiem. Oczy i uszy twórców musiały przejść jakąś wyczulającą przemianę, bo dzieła ich coraz częściej świadczą o tem, że oczy ich widzą poprzez ścianę, a uszy słyszą nawoływanie z bardzo dalekiej przestrzeni.

Zwiastuje nam to może zmierzch planetarnego szowinizmu i odkrycie prawdy, że nasza odwieczna nostalgja zwraca nas ku ojczyźnie największej i najpiękniejszej ze wszystkich — ku Drodze Mlecznej.

KONIEC ŚWIATA

Pod koniec maja 1925 roku odkrył astronom amerykański, Watson, na niebie południowem w okolicy południowego bieguna nieba nową gwiazdę, która dziennym swym wyglądem i zachowaniem się zwróciła na siebie refraktory wszystkich wielkich obserwatorjów astronomicznych na południowej półkuli ziemskiej.

Gwiazda ta, którą nazwano „Nova Pietoris", nie rozbłysła na firmamencie południowego nieba w ciągu kilku godzin, lecz wzrastała i wzmagała swój blask w ciągu kilku tygodni, tak, że astronomowie mieli czas podjąć najbardziej szczegółowe obserwacje przy pomocy specjalnie w tym celu skonstruowanych urządzeń i aparatów, zwłaszcza w momencie najsilniejszego blasku gwiazdy.

To powolne wschodzenie gwiazdy stanowiło zagadkę dla astronomów. Wyjaśnił ją prof. Hartman, kierownik obserwatorjum w La Plata w Argentynie. W pewnej chwili obserwatorja otrzymały depeszę, przez niego podpisaną, następującej treści:

„Zagadka „Novy" rozwiązana — gwiazda pęcznieje i pęka — Hartman".

Astronomowie zrozumieli, że takie rozwiązanie zagadki oznacza straszliwą katastrofę we wszechświecie — późniejszy referat prof. Hartmana wyjaśnił szczegóły jego hypotezy.

Prof. Hartman obserwował światło nowej gwiazdy i przeprowadzał analizę spektralną w chwili najsilniejszego blasku i nie dostrzegł nic charakterystycznego. Skłonny też był przypuszczać, że gwiazda po pewnym czasie zgaśnie, tak jak gasną inne nagle wschodzące gwiazdy. Zagadka powolnego, kilkutygodniowego wzrastania jej wielkości i siły blasku pozostałaby wówczas nierozwiązaną.

Nagle dnia 10 czerwca normalny obraz analizy spektralnej światła „Novy" zmienił się gruntownie. Pokazały się w nim jasne pasma wodorowe, z których ani śladu nie było jeszcze dnia poprzedniego. Równocześnie począł szybko przygasać blask „Novy". Wówczas to prof. Hartman wysłał ową sensacyjną depeszę.

„W chwili najintensywniejszego blasku zaszła zmiana w obrazie analizy spektralnej „Novy" — pisze prof. Hartman. A dalej: „Zanim „Nova" rozbłysła widoczna była jako maleńki punkcik świetlny, w chwili najsilniejszego blasku wielkością swoją przewyższała największe znane słońca. Różnica między pierwszym momentem, względnie stanem normalnym gwiazdy, a momentem drugim, kryzysowym, przedstawia się jak 1 : 54.000. Rzeczywistość tego wydarzenia rozegrała się we wszechświecie przed 4500 lat, tyle bowiem czasu potrzeba, aby światło stamtąd dotarło do ziemi.

W stanie normalnym „Nova" mierzyła w średnicy 2,8 milj. kilometrów, dwa razy tyle, ile mierzy nasze słońce. Pomiary od 27 maja do 9 czerwca wykazują, że objętość jej zwiększała się w tempie 140 klm. na sekundę. Dnia 27 maja średnica „Novy" mierzyła już 282 milj. klm., a 9 czerwca osiągnęła maksymum, okrągło 600 milj. klm., t. zn., że zwiększyła się w porównaniu ze stanem normalnym 214 razy. Była to więc olbrzymia eksplozja potężnej gwiazdy.

Fenomen „Novy" — pisze dalej profesor Hartman znajduje swoje uzasadnienie w wewnętrznym stanie niektórych gwiazd.

Mamy tu do czynienia z występującem w pewnym krytycznym momencie zaburzeniem równowagi chemiczno-fizykalnej, co powoduje przeobrażenie się ciała niebieskie go w drodze eksplozji!

Napozór niewinne to zdanie pokrywa przepaść nieodgadnionych, a straszliwych tajemniczych możliwości. Cóż bowiem stałoby się, gdyby tak np. nasze słońce było jedną z tych „niektórych gwiazd", które w taki sposób odradzają się, jak Feniks, które spalają się w własnym żarze, aby z popiołów powstać do nowego życia w nowej postaci.

* * *

Puśćmy wodze fantazji i spróbujmy wyobrazić sobie, co stałoby się z naszą ziemią, gdyby tak nagle słońce nasze zaczęło się przeobrażać. Przypadek chce, że odległość naszej ziemi od słońca wynosi 214 długości średnicy słońca, czyli gdyby objętość słońca powiększyła się tak, jak objętość „Novy" w czasie eksplozji 214 razy, to słońce zetknęłoby się z drogą, po której biegnie ziemia we wszechświecie. Dla lepszego uprzytomnienia sobie przebiegu katastrofy wstawiamy te same daty, w których rozgrywał się dramat „Novy".

* * *

Koniec marca. W strefie umiarkowanej budzi się wiosna. Ciepłe promienie słońca wyczarowują zieleń, pąki i kwiaty. Pewnego dnia donosi jedno z obserwatorjów astronomicznych w Ameryce, że średnica tarczy słonecznej powiększyła się nieznacznie. Gołe oko ludzkie nie dostrzega jeszcze żadnej zmiany, ale po kilku godzinach niema już żadnych wątpliwości: Wszystkie obserwatorja astronomiczne skierowały swoje lunety, refraktory i spektroskopy na gwiazdę naszego dnia i stwierdzają, że tarcza jej z godziny na godzinę się powiększa i że płonąca żarem powierzchnia słońca zbliża się do ziemi z szybkością 70 klm. na sekundę. Tajne depesze iskrowe idą od obserwatorjum do obserwatorjum i do gabinetów rządów wszystkich państw. Prasa otrzymuje surowy zakaz publikowania jakichkolwiek wiadomości o spostrzeżeniach astronomicznych. Wojsko i policja w pogotowiu.

W Ameryce zapada noc — pracę podejmują astronomowie japońscy, a zanim u nich zapadnie zmierzch, europejscy badacze nieba i gwiazd stają na stanowisku.

Na wschodzie czerwieni się niebo. Wstaje wiosenny różowy poranek — Eos o różowych palcach. Któż nie wspomniałby o ognistym wozie? Owidjusz przekazał nam wieść o tem, jak to kiedyś rumaki Eosa zeszły ze swej drogi i jak ognisty wóz słońca zbliżył się do ziemi. Trawa i drzewa spłonęły, a morza wyschły — wyparowały. Czyżby w baśni tej tkwiło ziarnko prawdy, czyżby ziemia przeżyła już małą eksplozję słońca i wyszła cało?

Nie czas jednak na takie myśli! Oto wytrysły już na wschodzie piewsze promienie wschodzącego słońca, i wytoczył się rozżarzony olbrzymi krąg — dziewięćkroć większy niż wczoraj.

Rządy zamknęły wszelką prywatną komunikację telegraficzną, organizując między sobą a obserwatorjami astronomicznemi trwałe połączenie szyfrowe. Jednocześnie we wszystkich krajach opublikowano wspólny komunikat:

„Po raz pierwszy w historycznych czasach stwierdzili astronomowie poważniejsze zaburzenie natury kosmicznej na kuli słonecznej. Średnica słońca wzrasta chwilowo nieprzerwanie. Obserwacje trwają. Powodów do zaniepokojenia niema narazie. Osoby, które wygłaszaniem przemówień, zwłaszcza o końcu świata, przyczyniłyby się do powstania paniki, mają być oddawane w ręce władz".

Dwa dni później — 4 kwietnia — tak jak by wydano jakieś tajemnicze hasło. Najpierw miljarderzy, bogacze i władcy, a z nimi wszyscy, którzy zawczasu zrozumieli niebezpieczeństwo i zanim nie wybuchnie lichwa, pozwolić sobie mogą na to — znikają — uciekają? Dokąd? W stronę biegunów!

Jasnem bowiem jest: jeśli to jest początek eksplozji słońca, to — o ile wogóle istnieje możliwość ratunku — masy lodowe na biegunach ziemi pozwolą najdłużej zachować życie.

Dzień po dniu straszniejszy jest wschód słońca. Dnia 7 kwietnia plama słoneczna zajmuje taką część nieba, jak kwadrat kon-

BIAŁORUSKIE NASTROJE

Niestety Warszawa dotąd jeszcze nie poczuła się w dostatecznym stopniu stolicą całej Rzplitej. Jak człowiek prywatny, obrany na urząd Prezydenta, przestaje należeć tylko do siebie, tak samo nasze miasto, stanąwszy z chwilą odrodzenia Polski na czele wielkiego państwa, nie jest już „miastem prywatnem" jak każde inne w kraju, lecz czemś znacznie więcej. Otóż, dzięki obecności w Warszawie rządu, sejmu, urzędów centralnych i t. d., stolica nasza faktycznie jest dziś takiem „miastem - Prezydentem"; tak... faktycznie: ale nie psychologicznie. Rozumie ona, lecz nie zdążyła jeszcze odczuć swego ośrodkowego i skupiającego stanowiska.

Bydgoszcz ma prawo, a poniekąd i praktyczny obowiązek, zajmować się przedewszystkiem sprawami bydgoskiemi, Kalisz kaliskiemi i t. d. Natomiast Warszawa, — jak matka, oddająca każdemu dziecku całe serce, winna oddawać swą całą uwagę sprawom bydgoskim, kaliskim, wileńskim... Im zaś uboższy, ciemniejszy, mniej samowystarczalny, bardziej zagrożony jest jaki odcinek kraju, tem pieczołowitszą należy go otoczyć opieką — nietylko administracyjną (co jest rzeczą Rządu), lecz także psychiczną i uczuciową (co jest już rzeczą naszą).

Tymczasem takie np. kresy wschodnie znajdują się jeszcze całkowicie poza widnokręgiem zainteresowań Warszawy. Nie czujemy jeszcze, że Białoruś czy Wołyń naprawdę leżą wewnątrz granic Rzeczypospolitej, a nie gdzieś na Uralu. Dopiero zaś wtedy, gdy Warszawa sama uzna się psychicznie za stolicę Białorusi tak samo jak Kielecczyzny czy Pomorza, dopiero wtedy Białoruś odczuje w Warszawie swą psychiczną stolicę.

Sprawa współżycia z mniejszościami, zwłaszcza z bratniemi mniejszościami słowiańskiemi, ma dla nas niezmiernie żywotne znaczenie. Że z kilku miljonów obywateli narodowości ruskich nie zrobimy Polaków, to więcej niż pewne; zresztą jeśli cenimy swój typ narodowy, nie powinniśmy nawet tego pragnąć. Atoli możemy i koniecznie musimy zrobić z nich szczerych obywateli Rzeczypospolitej Polskiej. Kto, jak piszący te słowa, żył długie lata na Rusi, ten nauczył się lubić i szanować wiele cech charakteru jej synów i wie, że we wspomnianym dezyderacie niema nic niemożliwego.

Trzeba przyznać, że przedstawicielstwa obu mniejszości słowiańskich w obecnym Sejmie zniechęcają nieraz w najwyższym stopniu opinję tej części społeczeństwa polskiego, która dąży do zgody. Ale skoro powtarzamy dziś bez końca, że parlament teraźniejszy przestał być wyrazicielem wyborców, to bądźmyż sprawiedliwi i pamiętajmy, iż posłowie ukraińscy — to jeszcze nie ogół Ukraińców, a posłowie białoruscy — to jeszcze nie cała Białoruś.

Dziś więcej niż kiedy, winniśmy wśród społeczeństw mniejszościowych szukać rąk, szczerze wyciągniętych do zgodnej współpracy państwowej, głów i serc, szczerze wierzących w jej możliwość. Takie ręce, takie głowy i serca — są; musimy je przyciągnąć do siebie jeszcze bardziej. Nie chodzi tu, broń Boże! o jakieś przekupywanie zapomocą demagogicznych haseł, o pozyskiwanie dla sprawy polskiej tych jednostek — zawsze mało wartych — co gotowe są sprzeniewierzyć się własnym ideałom nacjonalnym gwoli korzyściom, płynącym z (pozornej) polonizacji. Tak twierdzą nasi „nieprzejednani", ale tak być nie powinno, tak nie jest, cała zaś nasza historja dowodzi, że tak nigdy nie było, gdyż metody takie nie leżą w charakterze polskim.

Skoro jednak ziemie kresowe stanowią integralną część Rzeczypospolitej, to lojalność obywateli narodowości ruskich nie może być żadną miarą poczytywana za małoduszną ugodowość czy płaszczenie się; byłaby tem wszystkiem wówczas dopiero, gdybyśmy zechcieli gwałtem utożsamiać obywatelstwo polskie z polskością. Boć jeżeli sami szczycimy się tem, żeśmy się nie dali przekabacić na niemców i Moskali, to jakiemże prawem będziemy żądać od Rusinów, by się stali Polakami?

Ale — sprawiedliwość za sprawiedliwość. Nie trzeba też i od nas wymagać niepodobieństw. Gdy całe odłamy społeczeństw mniejszościowych głośno wyrażają chęć współpracy z nami, szaleństwem byłoby odwracać się od nich dlatego tylko, że pewne jednostki (choćby to byli chwilowi: „wybrańcy ludu") stanowczo współpracy takiej nam odmawiają.

Że zaś takie przyjazne nam odłamy istnieją nietylko w naszem pium desiderium, ale w całkiem realnej rzeczywistości, tego dowodem — chociażby zwołany na 27 czerwca „Zjezd Zachodniaj Biełarusi" w Wilnie. By nie być gołosłownym, przytoczę w przekładzie kilka ustępów z ostatnich numerów tygodnika „Biełaruskaje Słowa".

Nr. 18, artykuł wstępny: „Białoruskie przedstawicielstwo parlamentarne w Sejmie zbankrutowało, wskutek swej niezdolności do pracy politycznej. Lud, który przed 4 laty chętnie głosował na 16-tkę, w wierze i nadziei, że jego posłowie zdołają choć trochę polepszyć ciężkie życie włościanina, teraz, zobaczywszy, iż nietylko nic się nie polepszyło, lecz owszem pogorszyło jeszcze, stracił zaufanie do swych wybrańców i już się nie spodziewa, by potrafili zdobyć coś realnego. Cała dotychczasowa praca klubu białoruskiego była czysto negatywna, sejmowa zaś trybuna służyła posłom tylko do agitacji.

„Wcale nie wpłynęło na zmianę położenia również i „zróżniczkowanie się" naszych sił parlamentarnych. Żadna wyłoniona z Biał. Kl. Poselskiego grupa polityczna nie wykazała tego politycznego rozumu, który polega na uświadomieniu sobie chwili przeżywanej, na zdolności do mądrych kompromisów, niezbędnych w życiu wogóle, a w politycznem szczególniej, umożliwiają bowiem zdobycie maximum ustępstw, jakie w dalszym czasie dadzą się osiągnąć... „Rewolucyjne" stanowisko posłów biał. wszystkich ugrupowań nie daje demokracji polskiej możności wszcząć z nimi żadnych rokowań, i wyciągnięta do nas dłoń zawisa w próżni.

„Dla poprawy losów naszej ziemicy, konieczne są zgodne wysiłki całej miejscowej demokracji bez różnicy narodowości...

„Biał. Rada Tymczasowa, która się zawsze kierowała ideologją wręcz przeciwną ideologji biał. przedstawicielstwa urzędowego, nieraz wzywając demokrację polską do wspólnej pracy nad polepszeniem doli naszego brata siermiężnego, — acz w masach ludowych zdobywała sobie wciąż więcej a więcej sympatji, nie jest jednakże organem, prawomocnym do przemawiania w imieniu narodu białoruskiego... Ale życie wysuwa potrzebę stworzenia takiego organu politycznego, mogącego reprezentować te sfery białoruskie, które, zniechęcone do linji politycznej dotychczasowych „oficjalnych" przedstawicieli w Sejmie, pragną wkroczyć na drogę konkretnych, realnych żądań i twórczej pracy, pragną budować swe życie nie na nienawiści, lecz na zgodnem współżyciu wszystkich zamieszkujących nasz kraj ludów.

„Celem stworzenia takiego organu, zwołany został na 27.VI r. b., z inicjatywy Tymcz. Rady, zjazd białoruski; ma on... wybrać ludzi, którym leży na sercu dobro ludu naszego i którzyby umieli walczyć oń nie pustemi przemówieniami demagogicznemi z trybuny sejmowej, lecz pracą codzienną, szarą..."

Z tegoż numeru: „Dzięki zupełnemu bankructwu biał. przedstawicielstwa parlamentarnego, które dowiodło swej całkowitej niezdolności do realnej pracy politycznej i dziś już wcale nie odzwierciedla żądań i dążności swych wyborców, naród białoruski znalazł się w nader przykrem położeniu. Wywiązała się taka sytuacja, że posłowie nasi robili swą „wysoką" politykę, bawili się w „opozycyjność" i „rewolucjonizm", zgoła nie myśląc o życiowych koniecznościach swego narodu, który pozostał zupełnie bezbronny".

Z nr. 17: „I oto w obecnej historycznej chwili, wskutek bankructwa naszego przedstawicielstwa w parlamencie, kierownictwo biał. polityką, myślą i kulturalną pracą przechodzi w ręce tego ugrupowania politycznego, które w chwili stanowczej walki polskiej demokracji z reakcją — otwarcie i wyraźnie stanęło po stronie demokracji z J. Piłsudskim na czele. Do Piłsudskiego, jako do syna naszej ziemi, naród nasz żywi ufność, w czasie bowiem, gdy naszą krainę deptał but żołdaka bolszewickiego, on do nas przyszedł z wielkiem hasłem: wolni z wolnymi, równi z równymi! Wprawdzie hasło zostało hasłem tylko i rychło przebrzmiało, wielkie możliwości nie ziściły się, ale... nie z Piłsudskiego winy".

— Tak oto przemawia umiarkowany odłam społeczeństwa białoruskiego. Kto ma uszy ku słuchaniu, niech usłyszy.

Warszawa, w czerwcu. **J. K.**

Listy do „Prawdy“

Nowa kultura

Z Algieru otrzymujemy następujące uwagi:

> ...„Ja jestem mięsem, a ty jesteś żelazem: zabijaj!"
>
> (Przemowa narzeczonego do ojca panny).

Jak widać z powyższego, zajmuję się obyczajami tuziemców. Lecz nie zainteresowała mnie ta szumna przemowa, te „słowa, słowa, słowa..." ze względu na arabów, berberów, czy też morabitów. Chodzi mi o „nową" kulturę, o której mówi się „górnie i chmurnie", a czasami poprostu „durnie" na szpaltach „Wiadomości literackich". Zarówno pp. Miller, Irzykowski i inni, prawiąc o kulturze „robotniczo-włościańskiej" napomykają często - gęsto o teatralizacji życia.

Trzeba sobie zdać sprawę z tego, że to jest piętką achillesową tych panów, przepojonych do gruntu „szlachetczyzną", którą tak namiętnie zwalczają. Tu was boli, poeci i esteci! Teatralizacja życia i kultura robotniczo-włościańska?! A więc naprzód wielkie przedstawienie z prawdziwą krwią, nienawiścią, walką — taki sobie grecko-rzymsko-rosyjski teatr pod gołem niebem, a potem wcielenie w czyn wzorków Tairowa i Meierhofa i zaganianie spoconych robotników do teatru, gdzie będą wybałuszali gały na trójplanową, zmechanizowaną scenę i na panów Millerów, siedzących w pierwszych rzędach i łzy rozczulenia roniących nad tem, że to oni właśnie pchnęli masy w objęcia nowej kultury. Dziecko zrozumie, że będzie to kultura pana Millera, a nie kultura masy.

Ale wróćmy do terminologji. Kultura „robotniczo-włościańska"? Chłopa odrazu i śmiało można odrzucić, chłopa, który cały świat widzi w swem półku, w swej ojcowiźnie, która jest dlań ojczyzną w najdonioślejszem znaczeniu tego wyrazu. O ile chłop chce iść wyżej, zaczyna od „Trylogji" Sienkiewicza, czyli podświadomie zastrzykuje sobie dawkę „szlachetczyzny", na której budować będzie cały gmach zasad i przekonań. Chłop będzie albo chłopem (z czem mu najlepiej „do twarzy"), wierzącym święcie, że radio przynosi choroby „weneryczne", a tem samem śród czarnych lub też śród białych pozostanie szarym lub żółtym.

Robotnik, który umie czytać, znajdzie szaloną przyjemność w literaturze brukowo-neo-szlacheckiej, w Mniszkównie, w Staśku. To mu chce pan Miller odebrać, dając wzamian ciekawe dla literata, inteligenta, a nudne śmiertelnie dla robotnika doświadczenia i próby. „Na ustach grzechu" Magdaleny Samozwaniec stały się źródłem uciechy i śmiechu pustego dla inteligenta, a szczerych wzruszeń i serdecznych łez nad losem bohaterki dla robotnic umiejących czytać.

Nową kulturę wytwarza warstwa przodująca, warstwa szlachetna — nie zaś szlachecka. Takiej warstwy w Polsce nie widzę i dla tego też przypuszczam, że walka o nową kulturę (gdy na lata jeszcze mo[illegible] do trawienia starą) pozostanie nadal tylko papierową.

I jeszcze jedno. Czy p. Miller, kruszący pióro o nową kulturę, sądzi, że teatralizacja życia, mająca zająć dominujące miejsce w przyszłości, to coś tak bardzo nowego? A Grecja, Japonja, Indje Wschodnie, a te napuszone słowa afrykańskiego narzeczonego do ojca swej oblubienicy? Czy to, co zdaje się być nowem, nie jest przypadkiem starsze niż kultury ludów europejskich? Nic nowego pod słońcem! Idąc naprzód, wracamy do punktu wyjścia. Ale z tego należy sobie zdać sprawę i jeżeli walczyć, to walczmy o duszę w człowieku i o duszę w każdej rzeczy, która jego jest.

Algier w czerwcu 1926 r.

Stefan Heflich Pietrowski.

Krwawe ofiary ludzkie

Wbrew pochodowi postępu, niektóre sekty nie porzuciły jeszcze dotychczas swych dzikich tradycyj obrzędowych. W Oregonie, na brzegach rzeki, która nosi tę samą nazwę, odkryto świeżo liczne trupy, posiekane ciosami noża.

Myślano zrazu, że hekatomba ta jest dziełem tajemnego związku: ku-klux-klan'u. Ale sumienniejsze zbadanie ustaliło, że zbrodnia ta jest dziełem religijnem plemienia indyjskiego Hohilpo, należącego do wielkiej rodziny: „płaskich głów".

Ofiary nagie przywiązuje się do wielkich bałwanów drewnianych. Indjanie krążą rytualnie dookoła nich i, od czasu do czasu, rzucają w nie nożami, które wbijają się w ciało nieszczęsnych. Rzuty przytem oręża dokonywane są z taką sprawnością, że ostrze nigdy nie przenika tak głęboko, by zadać cios śmiertelny lub sięgnąć organu zasadniczego. Agonja tych męczenników jest straszna.

---

stelacji „Wielkiego Wozu". Upał — nawet w strefie umiakowanej północnej półkuli — mimo wczesnej pory jest nie do wytrzymania. Na równiku i na półkuli południowej, gdzie w marcu przypada koniec lata, tylko gwałtowne parowanie mórz wstrzymuje katastrofę, wytwarzając coraz gęstszą i szczelniejszą zasłonę z chmur. Obserwacje są coraz bardziej utrudnione. Uczeni urządzili stacje obserwacyjne na biegunach i pracują przy pomocy samolotów i balonów.

10 kwietnia objętość słońca jeszcze się powiększa. Meldunki są coraz groźniejsze. Poziom mórz obniża się widocznie. Na biegunach topnieją lody jak wosk. Tylko na południowym biegunie jest jeszcze zimno. Na północnym temperatura jest taka, jaką miała Nizza normalnie w zimie. W strefie podzwrotnikowej ludzie i zwierzęta wymarli już prawdopodobnie lub wyginęli w pożarach stepowych i leśnych. Między 50 stopniem szerokości południowej i północnej żadna stacja iskrowa nie odpowiada.

13 kwietnia. Stacja na biegunie północnym donosi, że zaobserwowała zaburzenie na powierzchni słońca w rozmiarach niewidzianych dotychczas. Astronomowie na biegunie południowym donoszą, że średnica słońca doszła do 100 milj. kilometrów i że zaburzenie zaobserwowane powstało z powodu katastrofy planety Merkury, najbliższej słońca. Słońce dosięgło ją i wchłonęło wśród straszliwego wybuchu.

15 kwietnia. Średnica słońca 120 milj. klm. Jeśli słońce pęcznieć będzie w tem tempie, za tydzień zniknie Venus, a za dwa tygodnie ziemia, wchłonięta przez żar masy słonecznej.

18 kwietnia. Przy życiu pozostali tylko ci ludzie, którzy schronili się na biegunach. Żadna inna stacja iskrowa już nie odpowiada. Komunikacja od bieguna do bieguna z powodu kosmicznych zaburzeń coraz trudniejsza.

Mija jeszcze jeden tydzień straszliwy. Zimno na biegunach wyczerpuje się. Zwłaszcza na północnym biegunie położenie staje się groźne, gdyż o tej porze biegun ten zwrócony jest ku słońcu. Średnica słońca mierzy 150 milj. kilometrów.

Nagle radość. Biegun północny donosi, że średnica słońca się zmniejsza. Ale astronomowie ostrzegają. Analiza spektralna słońca nie wykazuje jeszcze żadnych zmian — a zanim nie pojawią się linje wodorowe kryzys nie nastąpił jeszcze. Do 20 maja mijają dni strasznej niepewności.

24 maja. Okropna jasność. Słońce rośnie w dalszym ciągu — w tempie przyśpieszonem, po 100 kilometrów na sekundę pędzi powłoka żaru ku ziemi.

1 czerwca. Na biegunie południowym stwierdzono, iż średnica słońca wynosi 200 milj. klm. Pozostały tylko godziny do katastrofy planety Venus.

2 czerwca. Venus ginie w gigantycznym wybuchu. Purpurowe języki żaru jak kleszcze wystrzeliły ku ziemi.

4 czerwca. Stacja na biegunie północnym zamilkła. Czy to tylko przeszkody w atmosferze — czy też nieszczęśni, którzy tam się schronili, pomarli w płomieniach?

Na biegunie południowym niema już nocy. Nieustannie unosi się na horyzoncie olbrzymi płomienisty sierp słonecznej tarczy.

5 czerwca. Obserwacje na biegunie południowym musiano przerwać. Ostatni, którzy wzbili się w balonach ponad powłokę chmur runęli na ziemię oślepieni i spaleni żarem.

6 czerwca. Ostatni komunikat stacji na biegunie północnym:

„Jeśli słońce rość będzie w tem samem tempie, powierzchnia jego z rozżarzonych gazów dosięgnie ziemię w nocy z 9 na 10 czerwca. Ziemia podzieli los Merkurego i Venus".

Dzień 7 i 8 czerwca mijają. Garstka istot ludzkich chroni się w ostatnich jaskiniach topniejących lodowców, szukając chłodu. Zbliża się 9-ty dzień czerwca. Obserwacyj nie dokonano żadnych. W nocy z 8 na 9-go czerwca odczuto silne wstrząśnienie. — Stacja obserwacyjna przypuszcza, że księżyc zapadł się w słońcu. „Powierzchnia słońca zbliżyła się na 2 milj. klm. do ziemi. Ziemia krąży w promieniu korony słonecznej. Prawdopodobnie tylko dzięki promieniom kosmicznym korony słonecznej niwelującym siłę przyciągania, ziemia nie zapadła się dotychczas w masie słonecznej. W każdym razie ziemia oglądana z zewnątrz posiada teraz ogon komety odwrócony od słońca. Wskazują na to pomiary, z których wynika, że ciśnienie powietrza spada w gwałtowny sposób, mimo, że morza bardzo silnie parują. Dopóki jeszcze jest nieco lodu i wody, wolno mieć nadzieję. Zapas ten wystarczy na około 20 godzin — o ile powietrze do tego czasu nie zrzednie tak, że się podusimy".

Zbliża się ostatnia noc. Podług kalendarza jest północ z 9 na 10 czerwca. Jeszcze żyje garstka ludzi, tuląc się do ostatniego złomu lodu na biegunie południowym. Rzadkie powietrze nie pozwala oddychać. Naraz zmienia się kolor światła przebijającego gęstą i grubą zasłonę chmur. Astronomowie pochylają się nad spektroskopami. Kolor światła zmienia się coraz bardziej. Instrumenty działają. Dawny obraz widma słonecznego już nie istnieje — coraz wyraźniej występują czyste pasma wodoru, helium i neblium. Równocześnie zaczynają lać się na ziemię strumienie wody z obłoków — następuje kondensacja — żar się zmniejsza. Widocznie słońce zaczyna się kurczyć, gwałtowniej, niż rosło. Promieniowanie słabnie. Uratowani!

* * *

I znowu przypomina się inne podanie, przekazane nam w Starym Testamencie. Historja potopu. Czyżby rzeczywiście ziemia nasza raz już przeżyła to wszystko?

M. Valier. — Die Woche).

Cuda podświadomości

Czytając olbrzymie dzieło prof. Morton Prince'a, amerykańskiego psychopatologa, o rozszczepieniu osobowości, tudzież kilka nie mniej obszernych prac z tejże dziedziny, pióra paryskiego profesora Piotra Janet, wy notowałem garstkę uderzających szczegółów, które, jestem tego pewien, zaciekawią czytelnika.

Zacznijmy od prostego względnie, lecz zabawnego przykładu t. zw. sugestji posthipnotycznej. — Wiadomo, że uśpiwszy pacjenta, hipnotyzer może mu wydać rozkaz, polecając zarazem, by go spełnił dopiero w kilka godzin (czasem nawet aż w kilka dni i dłużej) po przebudzeniu, a więc już w stanie normalnym umysłu. Wówczas wywiązuje się nieraz w duchu pacjenta walka wewnętrzna pomiędzy podświadomością, skłaniającą go do danego czynu, a świadomością normalną, nie znajdującą w sobie logicznych pobudek do jego spełnienia. A to tembardziej, że hipnotyzer, dla większej jaskrawości doświadczenia, poddaje niejednokrotnie czyny wręcz niedorzeczne. — Oto ów przykład, opowiedziany przez profesora Prince'a:

„Rozkazałem uśpionej pani R., by nazajutrz obiadowała w kapeluszu. Po przebudzeniu, nie pamięta już mych poleceń. Za następnem widzeniem się, rozpowiedziała mi zajście w takich słowach:

Gdy szłam na obiad, córka mię zagadnęła, czemu wychodzę z domu. „Nie wychodzę, — odparłam — idę na obiad". „Więc poco włożyłaś kapelusz?" Uniósłszy rękę, stwierdziłam słuszność jej słów. „Mój Boże, — zawołałam, — czy dostaję bzika?" „Nie, mamo, ale nieraz dziwnie postępujesz". Zaniepokojona, zdjęłam kapelusz i poszłam do jadalni.

Tam najmłodszej jej dziecko również zapytało, dokąd idzie z kapeluszem na głowie. Zdjęła go powtórnie. Gdy wszedł jej mąż, scena się powtórzyła. Ale kiedy po raz trzeci bezwiednie włożyła kapelusz, oświadczyła, przepraszając za swe rozdrażnienie, iż „zdecydowała w nim pozostać przez cały obiad". Po skończonym posiłku, wielce nie spokojna, radziła się znajomego, co o tem wszystkiem myśleć.

Jeszcze ciekawsze jest następujące doświadczenie.

Hipnotyzer każe uśpionemu pomnożyć w umyśle jedną kilkucyfrową liczbę przez drugą i podać iloczyn po upływie naprzykład osiemnastu godzin; poczem budzi go natychmiast, nie dawszy mu czasu na dokonanie rachunku. Owóż pacjent, aczkolwiek po przebudzeniu zgoła już nie pamięta o rozkazie, podświadomie mnoży wskazane liczby i pod tym czy owym pretekstem oznajmia lekarzowi rezultat o naznaczonej godzinie!

Mamy więc w tym wypadku i nieświadomą rachubę czasu i nieświadome dokonywanie tak złożonej czynności umysłowej jak mnożenie. To ostatnie tembardziej zastanawia, że przecież przywykliśmy uważać wszelkie działania matematyczne za akt par excellence świadomy.

Pamiętam, że kiedyś Ochorowicz wmówił uśpionej pacjentce, iż po obudzeniu nie będzie widziała jego głowy. Można sobie wystawić jej zgrozę, gdy ocknąwszy się ze snu hipnotycznego, ujrzała swobodnie przechadzającą się po salonie, lecz... bezgłową postać uczonego! Eksperyment Prince'a jest podobny, ale znacznie bardziej skomplikowany.

Wmówił zahipnotyzowanej miss B. aż trzy rzeczy: 1) że po obudzeniu się nie będzie go wcale widziała; 2) prawa jej ręka będzie zupełnie nieczuła; 3) ma się wdać w ożywioną rozmowę z jego asystentem, nie zwracając żadnej uwagi na resztę pokoju. Zaczem budzi ją. Miss B. patrzy na niego jak... owieczka na sadzawkę i pyta asystenta, „kiedy doktór wyszedł". Zaczynają żywo gawędzić. Tymczasem doktór cztery razy lekko nakłuwa prawą rękę miss B., która ani drgnie. Ale nie na tem koniec! Podczas gdy pacjentka w najlepsze opowiada coś asystentowi, Prince („niewidzialny i niesłyszalny") wsuwa jej w rękę ołówek i cicho szepcze na ucho: Proszę tyle razy stuknąć tym ołówkiem po stole, nie przerywając rozmowy, ile razy nakłułem rękę. — I Miss B, stuka czterykroć!

Niech czytelnik uprzytomni sobie rojowisko pozornych niemożliwości w tym autentycznym fakcie. Miss B. nie widzi stojącego przed nią człowieka; nie słyszy go, a jednak słyszy i spełnia jego rozkaz; nie czuje ukłuć, a jednak nietylko je czuje, lecz i pamięta ich liczbę; jest pochłonięta rozmową, a jednocześnie wsłuchuje się w niesłyszalny rozkaz, przypomina sobie liczbę nieodczutych nakłuć i wreszcie odmierza właściwą liczbę uderzeń ołówkiem, o którym nawet nie wie, że go ma w ręce!

Teraz przytoczę doświadczenia, już wręcz nie dające się wyjaśnić.

Pokazujemy zahipnotyzowanemu kilkanaście zupełnie czystych i ściśle jednakowych kartek grubego papieru. Wmawiamy mu, że na jednej z nich (którą dla siebie samych odznaczamy ledwie dostrzegalną kreseczką na odwrocie) znajduje się rysunek dajmy nato kwiatka. Pacjent potwierdza, że widzi nasz urojony kwiatek; to jeszcze nie takie dziwne. Ale co jest zdumiewające, to że po starannem przetasowaniu kartek, pacjent nieomylnie poznaje tę, na której „widnieje" nieistniejący rysunek!

Widocznie tedy coś z urojonego kwiatu istotnie „przyczepiło się" do czystej kartki.

Binet (patrz Les altérations de la personalité) wmawiał pacjentce, że gdy po przebudzeniu da jej dziesięć jednakowych kartek, będzie mogła widzieć tylko zupełnie czyste, kartki zaś opatrzone cyframi będą dla niej niewidoczne. Jakoteż obudzona chora rzeczywiście nie widzi policzbowanych kartek. Otóż powstaje błędne koło; nato, by spełnić rozkaz niedostrzegania ponumerowanych kawałków papieru, musiała się przekonać, że są ponumerowane; nato by się o tem przekonać, musi widzieć cyfry; stąd wyprowadzamy paradoksalny wniosek, że pacjentka widzi to, czego nie widzi.

Już z tych kilku pobieżnych uwag wynika, że starożytny nakaz „poznaj samego siebie" jest jeszcze mniej łatwy do spełnienia, niżeśmy się spodziewali.

Czesław Jastrzębiec-Kozłowski.

KWIATKI

„**Zatwardzenia** nie wyleczy się środkami przeczyszczającymi, które dla wycieńczonych kiszek są tem, czem bat dla zmęczonego konia. W odróżnieniu od zwykłych środków przeczyszczających, jest „Brotella" prof. Gewecke naturalnym środkiem dyetycznym dla kiszek. „**Brotella**" jest nauczycielem dla kiszek. Kształci ich zdolności i zalety. „Brotella" jako zupa kiszkowa stanowi najdoskonalszy i najsmaczniejszy pokarm na śniadanie i kolację.

Jeden z lekarzy pisze: „Brotella zdziałała cuda u mojej żony. Zażywając Brotellę przez cztery tygodnie, żona moja ku mojej najwyższej radości osiągnęła to, o czem już razem z nią wszyscy zwątpiliśmy: mianowicie regularny codzienny stolec. Czuje się jak nowonarodzona..."

(Ogłoszenie w „Kurjerze Poznańskim").

Rozczulający jest obrazek szczęścia małżeńskiego w rodzinie owego lekarza.. tylko tyle brakowało im do szczęścia.

* * *

Oferta pod „F. 328". Szanowny Panie! Posiadam pokój, jakiego Sz. Pan poszukuje. Niema wprawdzie telefonu w mieszkaniu, ale zamiast tego jest do dyspozycji piękny, chociaż mały klozet od strony słonecznej i z wodą. Posiadam także radio-aparat bez anteny.

Pokój obejrzeć można między 3-cią a 4-tą po południu. Na miejscu jest także niezamężna córka w wieku 47 lat, która może Sz. Panu wszystko załatwić — pozatem chętnie sama jestem do dyspozycji.

Oczekuję Sz. Pana w poniedziałek o wskazanej porze.

Z poważaniem
M. S.

(Oryginał listu został nam przedłożony).

Armata jako bóstwo

Mieszkańcy Jawy należą do wielkiej liczby różnych religij. Są między nimi brahmaniści, buddyści, muzułmanie; ale i brahmaniści, i buddyści, i muzułmanie, czczą zarówno jedno szczególne bóstwo. Bóstwem tem jest... armata. Armata ta została przywieziona przez Portugalczyków czy Holendrów, nie wiadomo już dzisiaj, w XVI stuleciu. Porzucona na placu publicznym w Batawji, okryta już dzisiaj grubą patyną, jest ona ośrodkiem pielgrzymek, ściągającym mieszkańców ze wszystkich stron pięknej tej wyspy. Armata ta, którą zwą poufale „grubą Mirjam", sprawuje, na wzór niektórych posągów naszych świętych, cuda, i dotknięcie jej powoduje cudowne uzdrowienia.

Narzędzie to śmierci, zamienione na bóstwo uzdrawiające, oto jedno z dziwnych zjawisk wiary zabobonnej. Ale — uzdrawia!

BILANS
Przemysłu Bawełnianego „Adam Osser" Spółka Akc. w Łodzi na 31-go grudnia 1925 r.

STAN CZYNNY.

Nieruchomości		1,080,024.47	
Maszyny		2,530,170.75	3,610,195.22
Kasa	10,875.19		
Waluty i dewizy	239,743.74		
Papiery wart.	46,975.89		
Weksle	4,098.—	301,692.82	
Bawełna	212,533.04		
Przędza	497,991.45		
Artykuły techn.	19,065.55	729,590.04	1,031,282.86
Dłużnicy			1,587,861.88
		Zł.	6,229,339.96

STAN BIERNY.

Kapitał akcyjny	3,000,000.—	
Kapitał amortyzacyjny	636,170.23	
Kapitał zapasowy	113,946.40	3,750,116.63
Wierzyciele		1,589,622.56
Zysk do podziału		889,600.77
	Zł.	6,229,339.96

Rachunek Zysków i Strat.

WINIEN.

Koszty handlowe	596,492.48	
Procenty i prowizje	19,120.78	615,613.26
Zysk		889,600.77
	Zł.	1,505,214.03

MA.

Dochód z przędzalni	1,464,537.32	
Różnice kursu	40,676.71	1,505,214.03
	Zł.	1,505,214.03

Podział zysku.

Kapitał amortyzacyjny	402,798.—	
Kapitał zapasowy	150,000.—	
Fundusz rezerwowy	88,302.77	
Rezerwa na podatek dochodowy za 1925 r.	84,000.—	
Wynagrodzenie Zarządu	162,000.—	
Wynagrodzenie Komisji Rewizyjnej	2,500.—	889,600.77
	Zł.	889,600.77
Zysk		889,600.77
	Zł.	889,600.77

Naczelny księgowy:

Wład. Skawronjek.

Komisja Rewizyjna:

Paweł Biederman
Dr. M. Barciński
L. Bergson.

— 92 —

BILANS
Towarzystwa Akcyjnego Manufaktury Wełnianej Karola Bennicha w Łodzi po dzień 31-go grudnia 1925 r.

AKTYWA.		Złote i grosze.
Grunty fabryczne i budynki		5,234,134.09
Maszyny i inwentarz		3,476,917.45
Dłużnicy		776,327.74
Kasa i banki		172,088.36
Weksle		67,343.71
Towary		2,616,534.88
Surowce		1,031,994.52
Papiery publiczne		120,000.—
Sumy przechodnie		32,713.12
Depozyt w Banku Polskim		410,515.—
		13,938,568.87

PASYWA.		Złote i grosze.
Kapitał zakładowy		8,100,000.—
Kapitał amortyzacyjny		851,854.58
Kapitał zapasowy		205,990.—
Wierzyciele		3,686,305.50
Niepodniesiona dywidenda		954.21
Sumy przechodnie		34,250.—
Depozyt w Banku Polskim		410,515.—
Rachunek Strat i Zysków:		
na kapitał amortyzacyjny	415,878.88	
na kapitał zapasowy	4,010.—	
na 20 proc. dywidendę	162,000.—	
na podatki i przeniesienie zysku na rok 1926	66,810.70	648,699.58
		13,938,568.87

Rachunek Strat i Zysków po dzień 31-go grudnia 1925 r.

WINIEN.		Złote i grosze.
Podatek dochodowy za r. 1925	76,000.—	
Podatek dochodowy dopłata za rok 1924	34,111.84	
	110,111.84	
Przeniesienie z 1924 r.	104,364.34	5,747.50
Straty na dłużnikach		32,232.55

Podział zysku.

10% na amortyzację maszyn	347,691.75	
4% na amortyzację budynków	68,187.13	
Na dywidendę 2%	162,000.—	
Na kapitał zapasowy	4,010.—	
Na podatki i przeniesienie zysku na rok 1926	66,810.70	648,699.58
		686,679.63

	Złote i grosze.
Wpływy z wątpliwych dłużników	2,336.64
Wpływy z komornego	23,804.41
Odsetki	21,281.36
Dochód z towarów	639,257.22
	686,679.63

Ceny ogłoszeń: Strona ogłoszeniowa dzieli się na 4 szpalty. | Ogłoszenia zwyczajne 25 groszy za 1 milimetr wysokości w jednej szpalcie. | Ogłoszenia w tekście 40 groszy za 1 milimetr wysokości w jednej szpalcie. | Drobne 10 groszy za wyraz.

Redaktor i wydawca: *Paweł Zielino*. Odbito w Drukarni Państwowej, Piotrkowska 85